

O WŁASNOŚCI.

O WŁASNOŚCI,

PRZEZ

ADOLFA THIERS,

AUTORA HISTORII KONSULATU I CESARSTWA.

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO.

CZĘŚĆ I. — II



H. Michałowski

WARSZAWA.

Nakład GUSTAWA LEONA GLÜCKSBERGA, Księgarza
przy ulicy Miodowej pod filarami.

1849.



284084 / 1-2

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 22 Listopada (9 Grudnia) 1848 r.

Starszy Cenzor,

L. T. TRIPPLIN.

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173476

W Drukarni St. Strąbskiego.

W/196/05p



PRZEDMOWA.

Gdy społeczność francuzka doszła do tak wysokiego stopnia zawiechrzenia moralnego, że wyobrażenia najprostsze, najoczywistsze, najpowszechniej za prawdę uznane, są podawane w wątpliwość, że im zaprzeczają zuchwale, niechaj więc nam wolno będzie dowieść ich, właśnie jak gdyby dowodzenia potrzebowały. Nie wdzięczna to i trudna praca, bo nie niewdzięczniejszego, nie trudniejszego, nad dowodzenie oczywistości. Oczywistość sama siebie dowodzi, dowodzić jej nie ma potrzeby. W geometryi, na przykład, są tak zwane pewniki; doszedłszy do nich, zatrzymujemy się, przestając na uderzających ich oczywistości. Dajmy że ci powiedzą: Dwie linie równoległe nigdy się z sobą zetknąć nie mogą. Powiedzą ci jeszcze:

Linia prosta jest najkrótszą drogą między dwoma punktami. Doszedłszy do tych prawd już się więcej nie rozumuje, już się więcej nie rozprawia; jasność faktu sama działa na umysł, i poczytujemy za zbyteczne dodać: że gdyby dwie linie się zetknęły, wynikłoby to ztąd, że nie byłyby jedna od drugiej w odległości statecznie jednakię, to jest, nie byłyby równoległe. Poczytujemy również za zbyteczne dodać, że gdyby linia poprowadzona od jednego punktu do drugiego nie była najkrótszą, to dlatego że nie byłaby dokładnie prostą. Słowem, doszedłszy do oczywistości, zatrzymujemy się, nie idziemy dalej.

Znajdowaliśmy się w tém samém położeniu względem niektórych prawd moralnych, poczytując je za pewniki niezaprzeczane, z powodu saméjże ich jasności. Człowiek pracuje i zbiera cenę swéj pracy; tą ceną są pieniądze; te pieniądze zamienia na chleb, na odzież, słowem, spożywa je: a gdy ich ma zawiele, pożycza drugim, i za to pobiera wynagrodzenie, procent, z którego żyje; albo téż daje te pieniądze komu chce, żonie, dzieciom, przyjaciółom. Poczytywaliśmy te fakta za naj-

prostsze, najsprawiedliwsze, najnieuchronniejsze, najmniej uległe zaprzeczeniu i udowodnieniu. Rzecz jednakże ma się inaczej. Dziś powiadają nam, że te fakta były czynami uzurpacyi i tyranii. Starają się to wmówić tłumowi wzburzonemu, zdziwionemu, cierpiącemu, a podczas gdy my, polegając na oczywistości niektórych twierdzeń, pozwalaliśmy światowi iść samemu z siebie, jak szedł za czasów w których wielki polityk wyrzekł: *Il mondo va da se*, znaleźliśmy go podkopanym przez fałszywą naukę, i, jeśli społeczność nie ma zginać, musimy dziś dowodzić to, czego przez samo uszanowanie dla sumienia ludzkości nikt przedtém dowodzićby nie przedsiębrał. Niechaj i tak będzie; trzeba bronić społeczności od niebezpiecznych sektarzy, trzeba jęj bronić siłą przeciw zbrojnym pokuszeniom ich uczniów, bronić głosem rozumu przeciw ich sofizmatom, a w tym celu, musimy skazać umysł nasz, umysł ludzi nam współczesnych, na dowodzenie zmuadne, metodyczne, prawd dotąd najpowszechniej uznanych. Tak jest, starając się zdać sprawę z zasad najelementarniejszych, umocnijmy przekonania wstrząśnione. Naśla-

dujmy Hollendrów, którzy, dowiadując się że robak gryzący i niedostrzeżony zagnieździł się w tamach zasłaniających kraj od fali morskiej, biegają do tam, żeby wygubić robactwo co je toczy. Tak jest, lećmy ratować tamy! Nie idzie już o to żeby ozdobić budowlę, siedlisko naszych rodzin; o to idzie, żeby im nie dozwolić runąć w przepaść, a ku temu należy wziąć się do samych fundamentów na których są wzniesione.

Dotknę się więc fundamentów na których społeczność spoczywa. Proszę moich społecznych aby mi pomogli swą cierpliwością, aby mnie wsparli swym światłem w trudnej argumentacji jaką przedsięwzięję dla ich dobra raczej niż dla mojego: bo ja, com przeszedł już z lat młodości do dojrzałego wieku, z lat dojrzałych do tej pory życia która za lat niewiele będzie starością; ja świadek kilku rewolucyj, com widział jak instytucje i charaktery ludzkie zawodzą położoną w nich otuchę; co od żadnej władzy na ziemi niczego się nie spodziewam, niczego nie żądam; co tylko błagam Opatrzności aby mi dała umrzeć z chwałą, jeśli trzeba umrzeć, albo dała

żyć z niejakim szacunkiem jeśli żyć trzeba, — ja nie pracuję dla siebie ale dla społeczności zostającej w niebezpieczeństwie. A jeżeli we wszystkiem co czynię, mówię lub piszę ulegam uczuciu osobistemu, tedy wyznaję że tym uczuciem jest głębokie oburzenie, jakim przejmują mnie te doktryny, córki ciemnoty, pychy i niegodziwej ambicji, co szuka wyniesienia swego w niszczeniu nie zaś w budowaniu. Odwołuję się zatem do cierpliwości moich społecznych. Postaram się, jasno, zwięźle, niezbicie dowieść tego, czego zapewne myśleli że nigdy dowodzić nie będzie potrzeba, mianowicie, że to, co zarobili wczora, jest ich własne, niewątpliwie ich własne, i że mogą tym albo żywić siebie, albo żywić swoje dzieci. Otóż do czegośmy przyszli, owoż do czego dowiedli nas fałszywe filozofy powiązane z tłumem w obłęd wprowadzonym.

Treść niniejszego dzieła od trzech lat była w myśli mojej gotowa. Wyrzucam sobie że go nie ogłosiłem, nim jeszcze złe swoich zniszczeń dalej nie rozniosło. Przeszkodziły mi w tym jedynie kłopoty życia, poświęconego to zmuśnym badaniom

historii, to niepokojom polityki. Usunąwszy się przed trzema miesiącami na wieś, i używając tam wczasu jakim mnie obdarzyli wyborcy mojej okolicy rodzinnej, zredagowałem to pismo, które dotąd byłem miał tylko w projekcie. Odezwa Instytutu francuzkiego do wszystkich członków swoich, skłania mnie abym je wydał. Oświadczam jednak, iż nie poddałem tej pracy pod sąd wydziału nauk moralnych i politycznych do którego należę. Jestem mu posłuszny ogłaszając niniejsze dzieło, ale nie czynię go za nie odpowiedzialnym, i jeśli wołą Instytutu spełniam, tedy myśl którą wyrażam jest jedynie i wyłącznie moja, i wyrażam ją w mojej mowie, wolnej, silnej, prostej; — taką mowa moja zawsze była, taką zawždy będzie.

A. THIERS.

Paryż, we Wrześniu 1848.

O WŁASNOŚCI.

KSIEGA PIERWSZA.

O PRAWIE WŁASNOŚCI.

ROZDZIAŁ I.

POCZĄTEK NINIEJSZEGO SPORU.

Jak stać się mogło, że własność została w naszym wieku podaną w wątpliwość.

Kto zdołał sprawić, że własność, będąca instynktem przyrodzonym człowieka, dziecka, zwierzęcia, jedynym celem, niezbędną nagrodą pracy, została w wątpliwość podaną? Kto zdołał doprowadzić nas do takiej zdrożności, której nie było przykładu w żadnym czasie, w żadnym kraju, nawet w Rzymie; bo tam, kiedy rozprawiali o prawie rolném (*lex agraria*), szło tylko o podział gruntów zdobytych na nieprzyjaciela? Kto zdołał to sprawić? Powiemy w niewielu słowach.

Pod koniec panowania Ludwika Filipa, przeciwnicy rządu ustanowionego w roku 1830-m dzielili się na kilka klas. Jedni, nie chcący go obalić, pragnący go owszem utrzymać, nie kwestionowali formy tego rządu, ale jego postępowanie. Żądali swobody prawdziwej, swobody osłaniającej interesa kraju od podwójnego wpływu dworów i ulicy, administracyi oględnej finansów, mocnej organizacyi siły publicznej, polityki rozważnej, ale mającej na celu dobro i chwałę narodu. Inni, bądź przekonani, bądź zapaleńcy, bądź też lubiący odznaczać się od towarzyszyów jednėje opinii, przeciwni byli formie samej rządu, i pragnęli rzeczypospolitej, nie śmiejąc jednak z tém się odezwać. Pomiedzy temi ostatniemi, najszerszy, chcieli czekać zupełnego wyprobowania formy monarchiczno-konstytucyjnej, i z wszelką prawością działali w tej myśli. Najniecierpliwsy, usiłujący odznaczyć się od samych republikanów, naglęj dążyli do rzeczypospolitej, i, ażeby utworzyć sobie język własny, prawili bezustannie o interesie ludu, zapomnianym, zapoznanym, wydanym na ofiarę. Inni nakoniec, chcący odróżnić się znakami jeszcze wybitniejszymi, głosili swą pogardę dla wszelkich rozpraw politycznych, żądali zmiany socyalnej, a i pomiedzy temi ostatniemi nawet byli tacy, co zakładając sobie cel

jeszcze dalszy, domagali się zmiany socyalnej zupełnej, absolutnej.

Spór, przedłużając się, stawał się coraz jadowitszym, i gdy rząd królewski, zbyt późno ostrzeżony, chciał przenieść władzę od jednych do drugich, wśród powszechnego zamieszania, wypuścił ją z rąk. Ci co władzę objęli, co ją dziś piastują, ostrzeżeni skutkiem prób ledwie zaczętych, nie spieszą z dotrzymaniem przyrzeczeń nierozważnych, do których zresztą wielu z pomiędzy nich wcale się nie zobowiązało. Ale ci co władzy nie piastują, których żadne doświadczenie nie oświeciło, trwają przy żądaniu zmiany socyalnej. Rewolucya socyalna! czyliż dosyć jej zapragnąć aby ją dokonać? Mając nawet potrzebną do tego potęgę, którą niekiedy znaleźć można wzburzając lud cierpiący, trzebaż jeszcze znaleźć do niej materiał. Trzeba mieć społeczność potrzebującą reformowania. Ale jeżeli jest zreformowana oddawna, cóż wtedy? Chciwi jesteście chwalić z dokonania rewolucyi socyalnej? trzebaż wam było urodzić się sześćdziesięcią laty wcześnięj, i w roku 1789 wystąpić na scenę świata. Wtedy, nie mając ludu, nie psując, mielibyście czém obudzić, a obudziwszy utrzymać jego zapal. W owym czasie niewszysey płacili podatki, szlachta ponosiła ich tylko część, duchowieństwo nie wcale,

wyjawszy kiedy dobrowolne składało ofiary. Nie wszyscy ulegali tymże samym karom za wykroczenie. Dla jednych była szubienica, dla drugih tysiączne sposoby uniknięcia hańby lub śmierci jakkolwiek zasłużonej. Niewszyscy mogli dostąpić urzędów, mimo największych zdolności, bo im przeszkadzał bądź stan, bądź wyznanie religijne. Pod nazwaniem praw feudalnych było mnóstwo służebności, niemających źródła swego w umowie dobrowolnej, ale w uzurpacji wymozionej przez siłę na słabości. Trzeba było piec chleb w pańskim piecu, mléć zboże w pańskim młynie, kupować wyłącznie jego plody, ulegać jego jurydyce, pozwolić jego zwierzynie wyjadać plony polne. Niewolno było zajmować się rzemiosłami i przemysłem, jak po przyjęciu do cechu lub korporacyi. Jedną prowincją tegoż kraju przedzielaly od drugiej komory celne; formy poboru podatków byly nieznośne, a wysokość tych podatków niszczyła w porównaniu z masą bogaćstwa krajowego. Oprócz dóbr ogromnych należących do duchowieństwa, składano mu, pod nazwaniem dziesięcin, najlepszą część plodów rolniczych. Temu ulegała masa ludu, klasy niższe w powszechności.

Dlatego téż w wiecznie pamiętnej nocy 4go sierpnia 1789r., wszystkie klasy narodu, repre-

zentowane w Zgromadzeniu Prawodawczém, mogły przyjść złożyć coś w ofierze na oltarzu ojezyzny. W istocie każda klasa miała wtedy coś do poświęcenia: klasy uprzywilejowane swoje wyłączenie od ciężarów publicznych, szlachta swoje prawa feudalne, prowincye swoje ustawy odrębne. *Nie.* Wszyscy słowem mieli coś do poświęcenia, i poświęcili, wśród uniesień radości niesłychanej, powszechnej.

Od niejakiego czasu nie szczędzą usiłowań aby podburzyć massy ludu: czy udało się wzniecić zapal podobny jak w roku 1789-m? Bez wątpienia że nie. A czemu? Dlatego, bo co raz było zrobione nie jest już do zrobienia; bo gdyby chcieli powtórzyć ową noc 4-go sierpnia, nie znalazłoby się nic do ofiarowania. Czy we Francyi nie jesteśmy wszyscy równi? Czy jest inna nierówność, jak nierówność zdolności, której prawo zaradzić nie potrafi, albo nierówność majątku, wynikająca z prawa własności? Są jeszcze nadużycia; o! zapewne, nie brak ich, nie zabraknie nigdy. Ale wznieść znowu oltarz ojezyzny pod gołém niebem dla poświęcenia na nim kilku nadużyć, to za mało! innych tu trzeba ofiar. Szukajcie więc, szukajcie w téj społeczności odrobionej i przerobionej tyle razy od roku 1789go, a zaręczam, że do poświęcenia nie znajdziecie nic, tylko

jedną własność. Chwycono się też tej ostateczności, i owoż początek oplakany dzisiejszych praw o tym przedmiocie.

Wprawdzie stronnicy zmiany socyalnej niewszysey chcą zniszczyć własność w tym samym stopniu. Jedni chcą znieść ją całkowicie, inni w części tylko; ci przestaliby na wynagradzaniu pracy w sposób nowy, tamci chcieliby dopiąć celu za pomocą systemu podatkowania. Ale wszyscy, jeden więcej, drugi mniej, biją na własność, aby dotrzymać pewnego rodzaju zakładu na jaki się puscili, obiecując dokonać rewolucyi socyalnej. Należy zatem obalić wszystkie te systemata ohydne, dzieciinne, śmieszne, ale zgnębne, wylęte ze zgnilizny moralnej, jak robactwo lęgnie się w zgniliznie fizycznej, i zatruwające atmosferę wśród której żyjemy. Takito jest początek niniejszego stanu rzeczy, stanu, który, nawet jeśli społeczność będzie ocalona, wystawi nas na wzgardę i politowanie wieku następnego. Daj Boże aby zostało miejsce na trochę szacunku dla tych, co zwalczały te błędy, wieczystą zakaleń rozumu ludzkiego!

ROZDZIAŁ II.

O METODZIE JAKIEJ TRZYMAĆ SIĘ WYPADA.

Że rozważanie natury ludzkiej jest prawdziwą metodą, jakiej trzymać się wypada dla wykazania praw człowieka w społeczności żyjącego.

Nim przystąpimy do dowodzenia że własność jest prawem, świętym prawem człowieka, należy nam wprzód ustanowić metodę dowodzenia, jakiej wypada trzymać się w tym przedmiocie.

Kiedy mówimy: Człowiek ma prawo ruszać się, pracować, myśleć, na jakiejże mówimy to zasadzie? Gdzie dowód tych wszystkich praw? W potrzebach człowieka, odpowiadają niektórzy filozofowie; potrzeby człowieka stanowią jego prawa. Ma potrzebę ruszać się, pracować na życie, myśleć, a zatem ma prawo czynić to wszystko. Ci co tak rozumowali, zbliżyli się do prawdy, ale jej nie do-

sięgli; bo wynikałoby z ich rozumowania że każda potrzeba jest prawem, potrzeba istotna zarówno jak nieistotna, potrzeba przyrodzona, prosta, zarówno jak potrzeba wynikająca z przewrotnej chuci. Jeżeli bowiem są potrzeby prawdziwe, istotne, są też fałszywe, wynikające ze złych nawyków. Człowiek, oddając się namiętnościom, tworzy sobie potrzeby wygórowane, złe, jakimi są trunki, kobiety, rozrzutność, lenistwo, praca nieporządna, walki, bitwy, wojna. Rozkosznik zapragnie żony każdego; pijanicy trzeba potoków trunku co go do zwierzęcia spodł; zdobywca chciałby całą ziemię zagarnąć. Gdyby potrzeby były źródłem prawa, Cezar, w Rzymie, byłby miał prawo przywłaszczyć sobie żony Rzymian, ich swobody, ich majątki, ich chwałę, i, w takim razie, złe chuci stanowiąłyby prawo.

Wiem, że filozofowie co tak rozumowali, ograniczyli swą definicję, mówiąc: Prawdziwe potrzeby stanowią prawo. Pozostaje więc znaleźć jakie to są potrzeby prawdziwe, i rozróżnić prawdziwe od fałszywych. Jak do tego dojdziemy? Rozważaniem natury ludzkiej.

Dokładne rozważanie natury ludzkiej jest zatem metodą jakiej trzymać się należy aby odkryć i wykazać prawa człowieka.

Montesquieu powiedział: „Prawa są stosunki rzeczy“ (*les lois sont les rapports des choses*). Ze wszelką czcią dla tak wielkiego męża, ośmielam się utrzymywać, iż wyraziłby się może dokładniej i ściślej, mówiąc: „Prawa są statecznością rzeczy“ (*les lois sont la permanence des choses*). Newton obserwuje ciała ważkie: widzi jabłko spadające z jabłoni (tak wyrażamy się w języku ziemskim mieszkańców naszej planety); stosując ten fakt z innym, z faktem że ziemia przyciąga księżyc, że słońce przyciąga ziemię, dostrzega w fakcie szczególnym, mało znaczącym, fakt ogólny, stateczny, i mówi: „Ciała ważkie przyciągają się wzajemnie, w stosunku swój massy; i nazywa ten fenomen prawem ciężkości.

Uważam człowieka, porównywan go ze zwierzęciem: widzę, że zamiast być posłuszny podłym instynktom, jak zwierzę które tylko je, pije, parzy się, śpi, zbudza się, i ciągle to samo powtarza, człowiek wychodzi z tych ciasnych granic, i do czynności które ma ze zwierzęciem wspólne, dodaje inne, wyższe daleko. bardziej skomplikowane. Ma rozum przenikliwy; za pomocą rozumu kombinuje środki do zaspokojenia swych potrzeb; wybiera między temi środkami, nie przestaje na tém aby zdobyć swą chwytał w lot jak orzeł, albo z zasadzki jak tygrys; uprawia ziemię, przyrządza swą strawę, przyrządza

sobie odzież, zamienia płody swęj pracy za płody pracy innego człowieka, zajmuje się handlem, bro- ni się albo naciera, prowadzi wojnę, zawiera pokój, wznosi się aż do rządzenia państwami, a nakoniec, wznosząc się jeszcze wyżej, dochodzi aż do uznania Boga. W miarę postępu w tych rozmaitych pozna- niach, powoduje się mniej siłą ślepą a więcej ro- zumem, staje się godniejszym mieć udział w rzą- dzie społeczności której jest członkiem; kiedy to wszystko uważam, kiedy uznałem w nim szczyt- ny dar rozumu, który się tém więcej rozwija im bardziej go używa; kiedy widzę że nie pozwalając mu używać rozumu, poniżam człowieka, pozba- wiam go tego boskiego daru, wtedy mówię: Postęp jest prawem ludzkości, bo szlachetna natura czło- wiecza, pilnie rozważana, objawia mi prawo, iż człowiek stworzony jest na to aby się doskonalił, postępował, podobnie jak spadające jabłko objawi- ło Newtonowi, że ciała ważkie nawzajem się przy- ciągają.

Twierdzą przeto że nie masz innego sposobu na wykazanie praw, jak rozważanie zdrowe i pilne istot do których te prawa się odnoszą. Kiedyś do- brze zbadał warunki statecznego bytu istot, wnio- skujesz ztąd jakim ulegają prawom, a z praw któ- rym są posłuszne, wnioskujesz o prawach które im służą. Winienem jednak dodać jeszcze uwagę,

którą pomijając naraziłbym się na zarzut sprzecz- ności. Czyliż, zapyta kto, z prawa zmuszającego ciała ważkie iż się przyciągają nawzajem, z pra- wa któremu ciała te ulegają, wnioskować zechcesz o prawach, o przywilejach które im służą? Czy po- wiesz: Ziemi służy prawo, służy przywilej obraca- nia się koło słońca? Bynajmniej; odpowiadam z Pa- skalem: Ziemio, nie wiesz co czynisz. Jeżelibyś mnie starła w proch, nie wiesz o tém, a ja wiem. Jestem więc wyższy od ciebie!

Tylko istotom moralnym, myślącym, służą pra- wa, przywileje. Powiedziałbym nieledwie, ale nie śmiem, że psu co cię strzeże, co cię kocha, służy prawo abyś się dobrze z nim obchodził. A jednak- że, tak się wyrażając, uchybilbym zupełnej dokła- dności i ścisłości w mowie. Jeżeli co winienes te- mu pocziwemu stworzeniu, to dlatego że rozu- miész czego mu trzeba. Pies sam nie posiada ża- dnego prawa, żadne prawo mu nie służy, bo żąda ale nie ma wiedzy. Tych wyrazów: *mieć prawo*, używać tylko można gdy się mówi o stosunkach wzajemnych istot myślących. Wszystkie istoty świata, moralne i fizyczne, ulegają prawom, ale prawa którym ulegają istoty moralne są zarazem zasadą praw które im służą. Mowa ludzka, odbi- jająca w nieskończonych odcieniach swoich niezli- czone odcienia stosunku istot, wyraża tę różnicę.



O ciele ważkiem mówię: że dąży do środka ciężkości, bo musi. Powiem o psie: nie dręcz go, bo dobre stworzenie na to nie zasługuje. Doszedłszy do człowieka, równego zemną przed Bogiem, mówię: Ma prawo. Sam tylko człowiek ulega prawu i posiada prawa.

Wydźmy więc z tej zasady, że własność, jak wszystko co się do człowieka odnosi, będzie prawem które człowiekowi służy, skoro rozważanie społeczności wykaże nam, że instytucya ta jest do bytu człowieka potrzebna, przyzwoita, użyteczna, konieczna i niezbędna.

*W tym rozdziale Thomas miał na myśli
odczygnięcia, że w nim są porównania
prawa własności z prawem wolności.*

ROZDZIAŁ III.

O WŁASNOŚCI JAKO FENOMENIE POWSZECHNYM.

Że własność jest faktem statecznym, powszechnym we wszystkich krajach i czasach.

Gdy metodę obserwacyi uznano za jedyną metodę dobrą w naukach moralnych, podobnie jak w naukach fizycznych, przeto najprzód zastanawiam się nad naturą ludzką we wszystkich krajach, we wszystkich czasach, na wszystkich stopniach cywilizacyi, i wszędzie znajduję własność jako fakt ogólny, powszechny, żadnego niecierpiący wyjątku.

Uczeni zeszłego wieku, chcąc ustanowić różnicę między stanem człowieka przyrodzonym a stanem cywilnym, wyobrażali sobie epokę, kiedy człowiek błądził po lasach i pustyniach, nie ulegając żadne-



mu prawidłu stałemu, i drugą epokę, gdzie ludzie skupili się, złączyli i powiązali umowami zwanymi prawem. Nazywano prawem natury warunki mniemane pierwszego z tych stanów, a prawem cywilnym warunki wiadome stanu drugiego. Jestto proste przypuszczenie, bo człowieka nie znaleziono nigdzie żyjącego w odosobnieniu, nawet pomiędzy najbardziej nieokrzesanymi, najbardziej ograniczonymi dzikimi Ameryki i Oceanii. Podobnie jak u zwierząt, niektóre, powodowane instynktem, żyją w gromadzie, jako trawożerne pasące się społem, gdy mięsożerne żyją odosobnione aby polować bez przeszkody, podobnie i człowiek zawsze był, znaleziony żyjącym społecznie. Prawo ze wszystkich najpierwsze, najdawniejsze, instynkt, zbliża go do istot jemu podobnych i czyni zwierzęciem towarzyskiem. Gdyby było inaczej, na cóżby mu się zdało to spójrzanie rozumne, którym zapytuje i odpowiada nim jeszcze mówić umie? Na co by mu się zdał ten umysł co pojmuje, uogólnia, oznacza przymioty rzeczy; ten głos, co je mianuje za pomocą dźwięków; ta mowa nareszcie, narzędzie myśli, węzeł i powab towarzystwa? Istota uorganizowana, tak szlachetnie, nie mogła być stworzoną do samotności. Nędzni mieszkańcy Oceanii, z całego rodu ludzkiego najpodobniejsi do małp, oddani rybolóstwu, sposobowi życia najmniej

sprzyjającemu rozwinięciu władz człowieka, i tych nawet znaleziono zbliżonych, żyjących społecznie, i znoszących się z sobą przez dźwięki dzikie i chrapliwe.

Dotąd zawsze znajdowano człowieka mającego swe mieszkanie własne, w tém mieszkaniu żonę swą i dzieci; wszędzie znajdowano te pierwotne zebrania, zwane rodziną, a te znowu, zgromadzone w większej liczbie, tworzą pokolenia lub ludy, które, wiedzione instynktem przyrodzonym, bronią się społem, jak żyją społem. Patrz jelenie, danielki, dzikie kozy, pasące się spokojnie wśród pięknych łąk naszych lasów europejskich, albo na zielonych grzbietach Alp i Pirenów: niechaj technienie powietrza zanieśnie ich delikatnym zmysłom dźwięk co je ostrzega, wnet, czy głosem, czy nogą dają znak trwogi, który natychmiast udziela się całej trzodzie, i pierzeją razem, bo w dziwnej swej szybkości znajdują obronę. Człowiek stworzony na to żeby wynalazł działa, żeby im stawiał czoło, człowiek, za miast pierzeć, rzuca się do broni mniej lub więcej doskonalej jaką wymyślił, chwytając żerdź na której końcu umocował kamień ostry, i tak uzbrojony, stawa przy sąsiedzie, opiera się nieprzyjacielowi, to naciera, to się cofa, według tego jak mu wskazuje najrzęczniejszy, najśmielszy z towarzyszków.

Wszystko to dzieje się instynktowo, wprzód nimby co jeszcze było napisanego o prawach lub o sztukach, wprzód nim jeszcze jakakolwiek zaszła umowa. Prawidła instynktowe tego stanu początkowego, ze wszystkich najpierwotniejsze, najpowszechniejsze, najpotrzebniejsze, słusznie mogą być zwane prawem przyrodzonem. Owoż własność istnieje już od tej chwili, bo nigdy nie widziano żeby i w tym stanie człowiek nie miał swojego szałasów albo namiotu, swojej żony, swoich dzieci, niejakiego zapasu ze swojego połowu ryb, ze swego polowania, albo ze swoich trzód, na wyżywienie swój rodziny. A jeżeli sąsiad jaki, pobudzony przedwczesnym natchnieniem nieprawości, chce mu wydrzeć część tych skromnych dóbr co składają jego mienie, udaje się wtedy do tego naczelnika, silniejszego, zręczniejszego, pod którym przywykł stać w boju, żąda od niego naprawy krzywdy, opieki, a ten daje wyrok stosowny do wyobrażeń o sprawiedliwości rozwiniętych wśród pokolenia.

U wszystkich więc ludów, jakkolwiek nieokrzyszczanych, znajdujemy własność: najprzód jako fakt, a potem jako ideę, ideę mniej lub więcej jasną według stopnia cywilizacji do którego ludy doszły, ale zawsze niezmiennie ugruntowaną. Myśliwiec dziki ma przynajmniej własność swojego łuku, swoich strzał, i zwierzyny którą ubił. Kocz-

jący pasterz ma przynajmniej własność swego namiotu, swoich trzód. Nie przyszedł jeszcze do wyobrażenia, aby ziemia była własnością, bo jeszcze na tę ziemię niełożył pracy. Ale Arab, co wyhodował liczne trzody, nie wątpi że jest ich właścicielem, i przybywa zamieniać plody ich za zboże, które inny Arab, już osiadły, gdzieindziej z ziemi pracą swą otrzymał. Dokładnie miarkuje wartość przedmiotu jaki daje, z wartością przedmiotu jaki odbiera; ani wątpi że jest właścicielem jednego z tych przedmiotów przed targiem, właścicielem drugiego po targu. Własność nieruchoma jeszcze u niego nie istnieje. Czasami tylko, przez dwa albo trzy miesiące osiada na ziemi do nikogo nienależącej, orze ją, zasiewa, zbiera, i przenosi się w inne miejsce. Lecz przez ten czas, który obrócił na orkę tej ziemi, na siew, na zbiór, koczujący nasz pasterz uważa siebie za właściciela jej, i z bronią w ręku uderzyłby na każdego, kto by śmiał targnąć się na jej plony. Jego własność trwa w miarę pracy. Powoli jednak koczujący pasterz osiada na miejscu i zostaje rolnikiem, bo wrodzona jest sercu ludzkiemu chęć mienia *swojego kęta*, jak ptakom mieć swe gniazda, jak niektórym czworonożnym mieć swe legowiska. Obiera nareszcie okolicę, dzieli ją na pewne części, gdzie każda rodzina osiada, pracuje; uprawia dla siebie i potomstwa

swego. Podobnie jak człowiek nie może pozwolić sercu błąkać się po wszystkich członkach pokolenia, jak czuje potrzebę mieć własną żonę, dzieci, które kocha, pielęgnuje, opiekę im daje, na których skupia swoje obawy, nadzieje, wreszcie życie całe: tak też potrzeba mu mieć swoje pole, które uprawia, zdobi według upodobania, granicą zamyka, które spodziewa się przekazać potomkom, okryte drzewami co rosły nie dla niego, ale dla nich. Wtenczas po własności ruchomej kocującego ludu, nastaje własność nieruchoma ludu rolniczego; nastaje drugi rodzaj własności, a z nim prawa skomplikowane wprawdzie, ale które z czasem ustępują miejsca sprawiedliwyszym, oględniejszym, bez zmiany wszakże zasady: prawa, dla których wykonania trzeba sędziów i siły publicznej. Własność wynikająca z pierwotnego skutku instynktu, staje się umową społeczną, bo ja bronię twojej własności, abyś ty bronił moje; bronię jej albo osobą swą jako żołnierz, albo memi pieniądźmi jako płacący podatki i poświęcający część mego dochodu na utrzymanie siły publicznej.

Tak więc człowiek, z początku mało dbały, mało przywiązany do ziemi na której do wyżywienia się znajduje bez wielkiego trudu dzikie owoce albo mnogie zwierzęta, zasiada przy tym stole zastawionym płodami przyrodzenia, i gdzie dla wszy-

stkich jest miejsce, bez zazdrości, bez sporu; kolejno przy tym stole zasiada, odchodzi od niego, znowu wraca, jak douczty ciągle odnawianej przez hojnego pana, a tym panem nie kto inny jest, tylko sam Bóg. Ale zwołua człowiek zaczyna smakować w wykwiutniejszej strawie; trzeba ją wydobyć; przywiązuje się do niej bo lepsza, bo trzeba było dużo pracy aby ją stworzyć. Tak rozdziela między siebie ziemię, mocno przywiązuje się do swjej części, a jeżeli ludy w massie chcą mu ją odebrać, walczy całym narodem: jeżeli w społeczności wśród której żyje sąsiad chce mu odebrać jego łąn, prawuje się z nim przed sądem. Ale jego namiot i trzoda pierwszej, jego ziemia i chata następnie, są kolejno przedmiotem jego przywiązania, i stanowią rozmaite stopnie jego własności.

Tak tedy, w miarę jak się człowiek rozwija, bardziej przywiązuje się do tego co ma, słowem: staje się bardziej właścicielem. W stanie dzikim jest nim zaledwie; w stanie cywilnym, jest nim namiętnie. Powiedziano że idea własności słabnie na świecie. Jestto błąd czysty; idea własności przeciwnie porządkuje się, staje się ściślejszą i utwierdza się. Przestawa na przykład stosować się do tego co nie może być rzeczą posiadaną, to jest do człowieka, i téjże chwili niewola znika. Jestto postępek w wyobrażeniach sprawiedliwości, nie zaś osłabie-

nie idei własności. Że inny jeszcze przykład przytoczę, w średnich wiekach, pan, senjor, sam jeden tylko mógł zabijać zwierzynę znajduwaną na gruntach osady. Ktokolwiek dziś spotka zwierzę na swojej ziemi, może je zabić, bo żywiło się u niego. U starożytnych ziemia była własnością rzeczypospolitą; w Azji należy do władcy; w średnich wiekach należała do zwierzchnego pana (suzerena). Z postępem wyobrażeń swobody, po wyswobodzeniu człowieka, wyswobodzoną została jego rzecz; uznano go właścicielem jego ziemi, niezawisłym od rzeczypospolitej, od władcy i od zwierzchnego pana. Własność stała się bardziej indywidualną; stała się przymiotem właściwszym samego indywiduum, to jest, stała się bardziej jeszcze własnością niż była.

Inny przykład. W średnich wiekach nadawano człowiekowi powierzchnię ziemi, ale mu nie oddawano tego co pod ziemią jest. Prawo zakładania kopalni było prawem korony, zbywanem za opłatą i tylko czasowo osobom trudniącym się wydobywaniem kruszcu. Z postępem światła ustaliło się pojęcie, że wewnątrz ziemi mogące stać się polem nowej pracy, powinno też zostać polem nowej własności, i ustanowiono własność kopalni, tak: iż dziś są dwie własności ziemskie: jedna

na powierzchni gruntu, własność rolnika; druga pod spodem, własność górnika.

Własność zatem jest fakt ogólny, powszechny, wzmagający się, nie zaś upadający. Naturaliści widząc mieszkania zdziałane przez bobry albo pszczoły, wyrzekną bez wahania, że bóbr, pszczoła, są zwierzęta z natury swój budownicze, że są stworzone do budowania. Z równą słusnością, filozofowie, będący naturalistami rodzaju ludzkiego, nie mogą powiedzieć że własność jest prawem przyrodzonem człowieka, że jest stworzony do własności, że własność jest jednym z praw jego rodzaju? A niedosyć powiedzieć że jest prawem rodzaju człowieczego, jest prawem wszystkich istot żyjących. Czyliż jaskółka, miła zwiastunka wiosny w naszym klimacie, nie ma swojego gniazda, które odszukać umie, którego nie ustąpi, a gdyby posiadała dar rozumu, czyliżby i ją nie oburzyły teorye naszych sofistów? Zwierzę pasące się trawą, żyje spokojnie wgromadzie, jak koczownicy pustyni, na pewnych pastwiskach, z kądem się nigdy nie oddala, bo u niego własność objawia się przez nawyknięcie do miejsca. Drapieżny lew, podobny do dzikiego myśliwca, żyć nie może wgromadzie, jedenby drugiemu szkodził; ma obręb swój w którym szerzy zniszczenie, gdzie chce mieszkać sam, z kądem wypędza każde inne drapieżne zwierzę coby chcia-

ło z nim podzielać obłowy. I on, gdyby umiał myśleć, ogłosiłby się właścicielem. A wracając do człowieka, spojrzysz na dziecię, powodujące się instynktem, zarówno jak zwierzę. Patrz jak naiwnie objawia się w niēm instynkt własności! Zastanawiam się niekiedy nad chłopczykiem, jedynym dzieckiem znacznego majątku, już pojmującym że nie będzie potrzebował dzielić się z innemi bracią pięknym zamkiem, dokąd go matka wozi co roku, pojmującym więc że jest sam właścicielem pięknych miejsc gdzie płyną młode jego lata; i cóż! ledwie przyjedzie, już w tym samym zamku chce mieć swój ogródek, tam uprawiać będzie ogrodowiny, których nie będzie jadł, kwiaty których ani pomyśli uszczknąć, ale gdzie będzie panem, panem w małym zakątku dóbr, nim zostanie panem dóbr całych!

Gdy widzieliśmy że człowiek po wszystkie czasy, we wszystkich krajach, przywłaszcza sobie wszystko czego dotknie; najprzód łuk swój i strzały, potem swój grunt, swój dom, swój pałac; że statecznie zaprowadza własność jako cenę konieczną pracy; gdybyśmy, wiedząc to, chcieli rozumować o nim jak Pliniusz lub Buffon rozumowali o zwierzętach, nie wahałibyśmy się wyrzec, biorąc na uwagę fakt do tyła powszechny, że własność jest prawem koniecznym rodzaju ludzkiego. Ale to zwierzę nie

jest zwierzęciem zwyczajnym: jest królem stworzenia, a zaprzeczają mu jego praw: należy zatem roztrząsnąć je bliżej jeszcze. Czyn, mówią, nie stanowi prawa. Trzeba więc dowieść, że fakt własności jest prawem i zasługuje na to nazwanie. Zresztą już i to niemało, gdyśmy okazali że fakt ten wzmaga się nie zaś upada. Idźmy jednak dalej, a obaczmy, że fakt ten jest najczcigodniejszy, najobfitszy ze wszystkich, najwięcej zasługujący aby był nazwany prawem; przezeń bowiem Bóg ucywilizował świat, doprowadził człowieka z pustyni do towarzystwa społecznego, ze srogiego uczynił łagodnym, z nieświadomego wiedzącym, z barbarzyńcą cywilizowanym.

z wyrazu.

ROZDZIAŁ IV.

O WŁADZACH ALBO ZDOLNOŚCIACH CZŁOWIEKA.

Że człowiek w osobistych władzach czyli zdolnościach swoich posiada pierwszą własność niezaprzeczoną, będącą początkiem wszelkiej innej.

Własność, powiedziałem, jest fakt powszechny: poddajmy ten fakt sądowi wewnętrznemu sumienia, i rozważmy, czy ta skłonność człowieka, przywłaszczenia sobie bądź ryby którą złowił, bądź zwierza którego ubił, bądź owocu który wyhodował, bądź pola które długo potem swoim rosił, jest z jego strony czynem uzurpacyi, kradzieżą popełnioną na szkodę rodzaju ludzkiego.

Bierzmy rzeczy zwysoka aby nie nie zostawić bez rozbioru. Spójrzmy najprzód na własną swoją osobę, przypatrzmy się jój najbliżej jak możemy. Odzież moja jest dosyć bliska mnie: jeżeli ją sam

wytkałem, albo jeślim zapłacił tego co ją wytkał, mógłbym utrzymywać że jest moja, bo zdaje się, że ta suknia co mnie ochrania od zimna lub skwaru, nie stanowi zbyt kosztownej rozkoszy, którąby można uważać za szkodliwą dla reszty ludzkości. Ale jeszcze bliżej chcę zacząć rozbiór tego co do mnie należy, a co do mnie nie należy, i w tym celu rozważam moje ciało, a w tém ciele pierwiastek który je ożywia.

Czuje, myślę, chcę: te uczucia, myśli, chęci, odnoszę do siebie samego. Czuje, że one dzieją się we mnie, a ztąd widzę jasno że jestem istotą oddzielną od tego co mnie otacza, różną od ogromu świata co kolejno pociąga mnie i odpycha, czaruje albo przeraża. Czuje że jestem umieszczony wśród tego świata, ale umiem doskonale ustanowić różnicę między tym światem a sobą, i nie mieszam osoby mojej ani z ziemią co mnie niesie, ani z istotami mniej lub więcej do mnie podobnymi co mnie otaczają, chociaż w ich liczbie są niektóre tak dalece mi drogie, że niekiedy chciałbym zlać mą istność z niemi, jakimi np. są żona moja i dzieci. Odróżniam więc siebie od reszty stworzenia, i czuję że sam do siebie należę.

Wiem, że niektórzy filozofowie badający rzeczywistość poznania ludzkich zadają sobie pytanie: czy cały ten widok wszechświata jest rzeczywisty albo

nie jest; czy twórca naigrawa się albo też nie z mojej łatwowierności, mieszcząc koło mnie czeze widziadła co mnie mamia, a które żadnej w sobie nie mają istoty; — lecz to bynajmniej nie wpływa na przedmiot który tu rozbieram. Skala granitowa o którą łódź moja ma się skruszyć, koń rozhukany co się na mnie ma rzucić, choćby nie byli granitem i koniem, choćby byli czezem widziadłem, to z żadnego względu nie wywrze wpływu na prawdę która nas zajmuje. Ten granit grożący méj łodzi, ten koń grożący méj osobie, ja dosyć w nich wierzę bym usiłował ich wyminąć; wrażenie jakiego od nich doznaję jest dostateczne do powodowania moją wolą. Skoro więc tak jest, poczytuję świat ten za rzeczywisty, a metafizykom zostawując badanie czy tak jest, czy nie, umieszczam siebie w środku téj rzeczywistości, i przywłaszczam sobie najprzód moję osobę, uczucia jakich ona doznaje, jéj sądy, jéj wolą, i zdaje mi się, iż nie dopuszczając się żadnej uzurpacyi powiedzieć mogę: Piérwszą z moich własności jestem ja, ja sam....

Po objęciu takiego stanowiska, wychodzę z tego wnętrza, z tego środka mojej istoty, wychodzę, i nie idąc daleko, uważam moje nogi, ramiona, ręce. Jeszcze tu bez wątpienia nie przekroczyłem najciśniej szej granicy mojego bytu, i powiadam: Te

nogi, te ramiona, te ręce są moje, niezaprzeczenie moje. Może mi kto uczyni zarzut, i zaprzeczy koni co mi rączych nóg swych użyczają do przebywania przestrzeni. W imię rodzaju ludzkiego wyzutego z posiadania może zechcą mi ich odebrać, mówiąc, że nie są moje, ale wszystkich. Dobrze, zgadzam się na to. Ale te nogi moje, te ręce, nikomu jeszcze nie przyszło na myśl powiedzieć że należą do ogółu rodzaju ludzkiego; choćby nawet kto powiedział, nie wierzyłbym mu. Gdyby się ich kto dotknął, gdyby kto złośliwie nastąpił mi na nogę, rozgniewałbym się, a jeśli bym był dosyć silny, rzuciłbym się na tego co mnie uraził aby się zemścić.

Te nogi, te ręce, te organa rozliczne za pośrednictwem których wchodzę w stosunek ze światem, są więc moje, co znaczy że ich używam bez przerwy, bez skrupułu, bez wyrzutów sumienia że cudzém posługuję się dobrem; że nie myślę komukolwiek ich ustąpić, chyba bym chciał pomódz istocie którą kocham a która pozbawiona jest władzy w członkach. Ale, cokolwiek bądź, nie uważam za jedno tych moich rąk i nóg z niezyjemi innemi.

Terazże, te nogi, te ręce, co mi służą do noszenia lub ujęcia przedmiotów które mi są potrzebne, te oczy co mi służą do widzenia, ten rozum co mi

służy do poznania wszech rzeczy i do korzystnego obrócenia ich na mój użytek, te nogi, te ręce, te oczy, ten rozum, które są moje, nieczyje tylko moje, czy są równe tymże organom u wszystkich innych ludzi? Bez wątpienia, nie. Dostrzegam między moimi władzami a władzami innych ludzi różnice znakomite: widzę, że skutkiem tych różnic, jedni są w nędzy, inni w dostatku, że jedni zasłaniać się od napaści są niezdolni, inni znowu nad resztą przewodzą.

Czyliż bowiem prawda że ten ma wiele siły fizycznej, tamten bardzo mało? że jeden jest mocny, ale niezręczny, drugi słaby, ale zręczny bardzo? że jeden mało wykona roboty, drugi wiele? że jeden ma zdolność do jednej jakiegokolwiek czynności, a drugi do innej? Prawdaż to czy nieprawda, że usuwając na bok tradycyjne nierówności urodzenia i majątku, i biorąc dwóch robotników pracujących w jakimkolwiek rzemiośle, że jeden z nich rozwiniętość nadzwyczajną, pilność niespracowaną, zarobi trzy albo cztery razy tyle co drugi, nagromadzi te pierwsze zarobki, utworzy z nich kapitał, za pomocą którego sam z kolei zacznie spekulować, i może do ogromnego dojść majątku? Te zdolności szczęśliwe, fizyczne czy moralne, bez wątpienia są jego. Nikt temu nie zaprzeczy, i w najściślejszym znaczeniu wyrazu powiedzieć

można, że są jego własnością. Ale ta własność jest nierówna, bo przy pewnych zdolnościach ten całe życie pozostanie biedny, gdy przy innych zdolnościach drugi staje się bogaty i potężny. Zdolności są przyczyną istotną że jeden ma mało, drugi wiele.

Owoż pierwszy rodzaj własności który niepodobna poczytać za uzurpacją: najprzód ja, potem moje władze albo zdolności, bądź fizyczne bądź moralne, moje nogi, moje ręce, moje oczy, mój mózg, słowem, moja dusza i moje ciało.

Jestto własność niezaprzeczona, pierwsza, niepodzielna, do której nikomu jeszcze nie przyszło na myśl zastosować prawo równego podziału, na którą nikt jeszcze nie powstawał, z powodu której mogę być narażony na zazdrość, na nienawiść, ale której nikt nigdy nie zechce odebrać mi część aby ją innemu udzielił.

ROZDZIAŁ V.

O UŻYWANIU ZDOLNOŚCI ALBO O PRACY.

—
Że z użycia zdolności ludzkich powstaje druga własność, mająca początek swój w pracy, i że społeczność uświęca tę własność przez wzgląd na dobro ogółu.

Człowiek zatem ma zdolności, które porównane ze zdolnościami innego człowieka mogą być wyższe albo niższe, prawie zawsze okażą się nierówne, ale które niezaprzeczenie do niego należą. Teraz, co z niemi zrobi? Czy Bóg dał mu głos, jak ptaszkowi, aby bez celu nucił w lesie, śpiewaniem zabawiał sobie godziny beczynne, albo pobudzał do marzeń jakiego samotnika błądzącego po gajku? Może on kiedyś z głosu tego zrobi głos Homera albo Tassa, Demosthenesa albo Bossueta; ale, tymczasem, Bóg inne na niego włożył obowiązki niż opiewać wdzięki przyrodzenia albo pła-

kać nad upadkiem państw. Przeznaczył go na to, aby pracował, pracował ciężko, dzień w dzień, i aby ziemię zlewał potem swoim.

Bóg rzucił człowieka nagiego na ziemię nagą: *nudus in nuda humo*, mówi Pliniusz Starszy. Dopiero za pomocą pracy człowiek opatruje się we wszystko czego mu brak. By się okryć, musi zedrzeć skórę ze lwa lub tygrysa i nią osłonić swą nagość; później, za rozwinięciem sztuk, musi uprząć runo swoich trzód, i z uprzedzonych nici sporządzić tkaninę co mu służy do odzieży. Tego mu niedosyć: musi zasłonić się od zmian atmosfery, wystawić mieszkanie gdzie się chroni od potoków deszczu, od skwarów gorąca, od mrozów zimy. Oprócz zaspokojenia tych potrzeb musi wyżywić się, żywić się codziennie, kilka razy na dzień; a gdy zwierzę, rozumem nieobdarzone, ale opiekuńczem futrem albo pierzem okryte, znajduje stosownie do swojego rodzaju gotowe wyżywienie, bądź owoc dojrzały na drzewie, bądź trawę bujną na łące, bądź zdobycz do polowu jeśli jest drapieżne; człowiek przeciwnie musi przysposobić sobie pokarm, musi albo wyhodować go z ziemi, albo zdobyć na zwierzętach co go przewyższają w ręczności lub sile. Ptak, sarna, któremiby mógł się nasycić, mają skrzydła albo prędkie nogi. Trzeba żeby wziął gałąź z drzewa, żeby z niej

zrobił łuk, na tym łuku położył strzałę, żeby ubił zwierzę, potem nakoniec aby je przysposobił na ogień, bo żołądek jego nie znosi krwi i surowego mięsa. Tu są owoce ale gorzkie, obok są słodsze: potrzeba aby między niemi wybrał, i uprawę uczynił je przyjemniejsze i smakowitsze. Między ziarnami są jedne puste i lekkie, ale w ich lieźbie są też niektóre pożywniejsze; trzeba żeby je ocenił, zasiał w ziemi żyźnej która jeszcze pożywniejszemi je uczyni, i przez uprawę przemienił w zboża. Kosztem takichto starań, człowiek nakoniec może exystować, ma być znośny. A gdy za pomocą Bożą wiele zmian dopełni się na ziemi, gdy jedno państwo runą na drugie, pokolenia po sobie nastąpią, zmieszają się północne z południowemi, wschodnie z zachodniemi, kiedy nawzajem zamienią wyobrażenia, udzielą sobie swoich wynalazków, gdy wielkiego serca żeglarze zwiedzą wszystkie morza jedne po drugich: z morza Śródziemnego przepłyną do Atlantyku, z Atlantyku do morza Indyjskiego, z Europy do Ameryki, zbliżając do siebie płody całego świata, wtenczas rodzaj ludzki staje na tym stopniu, że nędza jego zamienia się w dostatek, że zamiast w skóry zwierzęce odziewa się w jedwabie i purpurę, żywi pokarmami najwykwintniejszemi, które niekiedy są płodem okolic oddalonych o kilka tysięcy mil od miejsca gdzie je

spożywają, że jego mieszkanie zrazu ledwie równające się bobrowej chacie, dochodzi świetności Partenonu, Watykanu, pałacu Tuileryjskiego.

Ta istota ze wszystkiego огоłocona, nie niemająca, opływa w dostatki. Jakim sposobem? Przez pracę, pracę wytrwałą, uporną, rozumem kierowaną.

Człowiek gdy się okaże na ziemi, nagi jest, ze wszystkiego obrany; ale ma władze, zdolności, nierówno rozposażone między indywidua jego rodzaju; używa ich, a przez to użycie przychodzi do posiadania tego co mu brakowało, staje się panem żywiołów, omal nie całego przyrodzenia. Człowiek ma więc zdolności swoje na to aby się niemi posługiwał, nie zaś aby się niemi bawił, jak ptaszek bawi się skrzydłami, dziobkiem albo głosem. Chwila wczasu kiedyś dlań nadejdzie: z głosu swojego zrobi głos melodyjnego śpiewaka; z rąk, z nóg swoich, ręce, nogi lekkiego tancerza; ale trzeba mu pracować ciężko, długo, nim do tych wczasów przyjdzie. Musi pracować aby exystował. Owóż do czego prowadzi rozważanie natury człowieka, jak rozważanie natury bobra, owcy, lwa, prowadzi do sądu że bóbr jest zwierzę budownicze, owca trawożerne, lew drapieżne.

Idźmy dalej. Człowiek musi pracować. Musi pracować koniecznie, aby nędzę jego przyrodzoną

zastąpiła pomysłność cywilizacją nabytą. Ale dla kogoż ma pracować? dla siebie czy dla kogo drugiego?

Urodziłem się na wyspie Oceanii. Żywię się rybami. Dostrzegam że w pewnych godzinach dnia ryby zwiedzają pewne miejsca. Skręcam włókna roślinne, robię z nich nici, z nici sić, zarzucam ją do wody, i poławiam rybę. Albo też urodziłem się w Azyi Mniejszej, w tych miejscach gdzie jak utrzymują stanęła arka Noego i gdzie ludzie po raz pierwszy znaleźli ziarno zwane pszenicą. Oddaję się uprawie ziemi. Żelazem ryję ziemię, spulchnioną wystawiam na działanie użyźniające powietrza, rzucam w nią ziarno, czuwam nad niem przez czas wzrostu, zbieram kiedy dojrzało, rozniatam, robię z niego chleb.

Ta ryba którą łowiłem tak cierpliwie, ten chleb który udzielałem z takim mozolem, czyjeż one są? Czy moje, com tyle dla nich użył trudu, czyli też próżniaka, co spał kiedy ja zajmowałem się rybołóstwem albo uprawą ziemi? Rodzaj ludzki cały odpowie że są moje, boć wreszcie ja żyć muszę, a z czyjjeż będę żył pracy jeżeli nie z mojej? Gdyby w chwili gdy niosę do ust ten chleb przeze mnie zrobiony, próżniak rzucił się na mnie i wydarł mi go, cóżby mi pozostawało, jak z kolei napaść na kogo innego, i uczynić mu toż samo? Ten

drugi równieży uczynił trzeciemu, i ziemia, zamiast być siedliskiem pracy, zostałaby siedliskiem rabunku. Co więc, ponieważ rabunek jest czynem wymagającym mało czasu, łatwym do spełnienia dla tego kto ma siłę, gdy przeciwnie produkeya jest czynem powolnym, zmusnym, wymagającym aby mu całe poświęcać życie, rabunek przeto ludzie przenieśliby nad rybołóstwo, polowanie, uprawę ziemi. Człowiek pozostałby tygrysem albo lwem, zamiast zostać obywatelem Aten, Florenceyi, Paryża, Londynu.

Wszystkie te przykłady biorę z pierwotnego stanu społeczeństw. Ale człowiek rozwijając się nie zmienia się. Chociaż lepiej się odzieje, lepiej mieszka, lepiej się żywi, choć się okryje złotem i purpurą, pędzi dni w pałacach z marmuru, najwykwintniejsze spożywa potrawy, choć wzniesie duszę swą do mądrości Platona, zawsze ma toż samo serce, zawsze tymże ulega nędzom, i trzeba mu tych samych pobudek aby się z nich podźwignął. Gdyby chwilę przestał walczyć z naturą, natura znowu wróciłaby do stanu dzikości. Napoleon kazał być zrobić drogę bitą przez górę Simplon, dzieło olbrzymie: skutkiem zajścia pomiędzy dwoma sąsiednimi krajami, cudna ta droga została zaniedbana przez dni kilka; przyrodzenie, waląc bez ustanku bryły lodu, potoki śniegu, a nawet sącząc drobne tylko strumie-

nie na sztuczną tę płaszczyznę uciepioną do boku gór Alpejskich, wkrótce uczyniło ją nieprzebytą. Człowiek, gdyby na chwilę tylko zaprzestał usiłowań, wnetby go natura zwyciężyła; gdyby choć jeden dzień przestał być zażegany ponętą własności, niedołężnie opuściłby rękę i spał obok narzędzi zaniechanęj pracy swojej.

Wszystkich podróży bije w oczy omdłałość, nędza i niszcząca lichwa panująca w krajach gdzie własność nie jest dostatecznie zabezpieczona. Spójrzij na państwa Wschodu gdzie władca poczytuje siebie za jedyne go właściciela, albo, co wszystko jedno, cofnij się w wieki średnie, wszędzie obaczysz też same cechy stanu społecznego: ziemię zaniedbaną, jako zdobycz najbardziej wystawioną na chciwość przemocy, uprawianą przez niewolników; mieszkańcy nad rolnictwo przenoszą handel mogący łatwiej uniknąć zdzierstw nieprawych; w handlu, poszukują srebro, złoto, drogie kamienie, jako wartości do ukrycia najłatwiejsze; wszelki kapitał co spieszniej zamieniający się na te wartości; pożyczki trudne, udzielane za wynagrodzeniem niewymiernym; kapitały skoncentrowane w rękę klasy wywołanej, która udaje ubóstwo, mieszka w domach nędznych zewnątrz, wewnątrz zbytowych, która niezwalczoną wytrwałość stawia przeciw barbarzyńskiemu panu co jej chce wydrzeć

tajemnicę jej skarbów, która sobie wynagradza swe poniżenie każąc mu za pieniądze płacić drożej, a tak za ucisk mści się lichwą.

Niechajże przeciwnie, bądź skutkiem postępu czasu, bądź skutkiem mądrości rządu własność będzie szanowana, natychmiast zjawia się ufność, kapitały odzyskują swą ważność stosunkową, ziemia nabiera wysokiej wartości i starannie uprawiana staje się plenniejszą; złoto, srebro wprzód poszukiwane tak bardzo, już poczytują się za wartości niedogodne i spadają w cenie; klasa co je posiadała, bezpieczna teraz, nabywa godności; nie ukrywa już swoich skarbów, z ufnością je pokazuje i używa ich za wynagrodzeniem umiarkowanym. Wszędzie panuje czynność, czynność ciągła, za nią idzie dobry byt powszechny, i społeczeństwo rozwinięte jak kwiat rozwinięty pod promieniami słońca i wilgocią rosy, zewsząd przedstawia zachwyconemu oku obraz pomyślności ogólnej. A gdyby ten stan błogi społeczeństw cywilizowanych kto chciał przypisać swobodzie, odpowiedziałbym: że własności szanowanej jedynie i wyłącznie należą się te błogie skutki, bo Wenecya nie była swobodna, ale jej oligarchowie szanowali pracę, i Wenecya przez kilka wieków była najbogatszym miastem na świecie.

Zebrawszy całe to rozumowanie w krótkie słowa, powiadam: Człowiek ma pierwszą własność w osobie swojej i w swoich zdolnościach; ma własność drugą, mniej nieodłączną od jego istoty ale niemniej świętą, w produkcie tych zdolności, obejmującym wszystkie dobra tego świata; społeczność w najwyższym stopniu interesowana jest gwarantować człowiekowi posiadanie tego produktu: bo bez tej gwarancyi nie ma pracy, bez pracy nie ma cywilizacyi, nie ma nawet zaspokojenia niezbędnych potrzeb; zostaje tylko nędza, rozbój, barbarzyństwo.

ROZDZIAŁ VI.

O NIERÓWNOŚCI DÓBR.

Że z nierówności zdolności ludzkich koniecznie wynika nierówność dóbr.

Kiedy zdolności ludzkie są pobudzone do działania, ponieważ te zdolności w ludziach są nierówne, wynika stąd, że jeden wyprodukuję wiele, drugi mało, że jeden będzie bogaty, drugi ubogi, słowem, że równość na ziemi ustanie. Samo z siebie się rozumie, że nie mówię o tej równości, która na tém zawisła, żeby żyć pod jednemi prawami, jednymże władzom być posłusznym, też kary ponosić, też nagrody odbierać, tymże samym warunkom społecznym ulegać, a co nazywamy równością w obliczu prawa; ale mówię o tej równości, któraby na tém zawisła, żeby każdy posiadał równą ilość dóbr,

bez względu, czy w pracy swój był zręczny lub nie, pilny lub niedbały, szczęśliwy albo nieszczęśliwy. Pierwsza z tych równości jest potrzebna, niezbędna: obaczmy co należy sądzić o drugiej.

Wróćmy najprzód do pierwszego faktu z któregośmy wyszli. Zdolności nierówne, zależące na posiadaniu bądź wyższej siły muskularnej, bądź wyższej siły fizycznej, bądź pewnego usposobienia ciała albo umysłu, bądź obojga razem, jako u zręcznego mechanika, który rękoma swemi tak dokładnie spaja rozmaite części maszyny, u snycerza który z marmuru wykuwa obraz pojęty w umyśle, u wodza, który z rzutem oka pewnym, bystrym, łączy wielką odwagę, zdrowie mocne, wszystkie te zdolności tak fizyczne jak moralne należą do człowieka którego Bóg niemi obdarzył. Owóż Bóg, dawca tych zdolności, nierówno je rozpozaczył między ludzi. W samych początkach społeczeństw, nim jeszcze skutkiem nagromadzonych prac, przekazanych od pokolenia do pokolenia, nowe nierówności umowne przybyły do nierówności pierwotnych, przyrodzonych, już wtedy, w stanie dzikości, człowiek dobrze uposażony wielką ma wyższość nad innych. Trzeba polować? zręczniejszy jest, ma dwa razy tyle do zjedzenia jak sąsiad. Trzeba się bronić? jest silniejszy, dwa razy lepiej oprzeć się potrafi. Nierówność zatem zjawia się

od pierwszego dnia, a późniejsze i dalsze nierówności społeczeństwa najbogatszego są tylko cieniem przedłużonym ciała, które wysoko wybijało.

Kiedy się toczy rzecz o prawo, ilość nie stanowi różnicy; czy idzie o mało, czy o wiele, wszystko jedno. Albo równość dóbr jest prawem służącym ludzkości, albo nie jest: jeżeli prawo to ludzkości służy, tedy równość tyleż byłaby nadwreżoną w pierwszych chwilach bytu społeczeństw, kiedy człowiek dziki, zręczniejszy, piękniejszy, jest bogatszy w plody polowania lub rybołówstwa, lepiej obdarzony w środki obrony lub pognębnienia innych ludzi, ile byłaby nadwreżoną, gdy tenże dziki, zostawszy członkiem społeczności ucywilizowanej, jest panem niezmiernie bogatym, obok nędzarza ogłoszonego z pierwszych potrzeb życia.

Ale ja, który z faktów widocznych wnioskuje o prawach przyrodzenia, ja oświadczam, że ponieważ człowiek nierówno jest uposażony, Bóg więc bez wątpienia chciał aby człowiek używał nierówno; jeżeli dał jednemu wzrok przenikliwy, słuch ostry, powonienie delikatne, drugiemu zaś zmysły przytępione; jeżeli jednemu udzielił środki aby produkował i spożywał wiele, innemu zaś dał członki ciała i żołądek słabowite; jeżeli jednego uczynił Alcibiadesem posiadającym wszystkie przymioty, drugiego zaś kretynem skazanym na wieczne niedołęztwo

umysłu i ciała; tedy wszystko to sprawił w tym celu, aby ztąd wynikły różnice w bycie tych indywiduów tak rozmaicie uposażonych. Gdy zasięgając myślą jeszcze większe koło, idę od człowieka do psa i konia, od psa i konia do kreta, polipa, rośliny; gdy w jednymże lesie widzę obok wyniosłego dębu poziomą trawkę, między dębami niektóre szczęśliwsze, co im ziemia, deszcz, słońce więcej sprzyjały, co wybujały nad inne, a nareszcie wśród nich jeden szczęśliwszy jeszcze, który uniknął siekiery leśnika, gromów piorunu, i nad wszystkie góruje wspaiałą swoją koroną, wtedy mówię sobie że te nierówności były zapewne warunkiem koniecznym w planie świata, w tym planie o którym mąż genialny pięknie powiedział, że jego cechą jest *jedność wśród różnaitości, różnaitość wśród jedności*.

Ale, ktoś mi powie, ten malowniczy układ świata co cię zachwyca, bodaj czy nie jest niesprawiedliwy: bo na przykład, Cezar, pod względem moralnym uważany, może być bardzo zajmujący, niemniej jednak był ciemieżcą swojego kraju, ciemieżcą pełnym geniuszu, godnym podziwienia, ale zawsze ciemieżcą.

Pojmuję taki zarzut.

Chociaż niewątpliwie do samego stworzenia świata można odnieść początek wszystkich nieró-

wności między ludźmi, jednak i to prawda, że Bóg oddając nam swoje dzieło, niekiedy pozostawia nam obowiązek zmodyfikować je, urządzić, podobnie jak czasem majster robotę zaczęta oddaje skończyć uczniowi. Dozwolił więc aby się znalazł Cezar, to jest człowiek wyższy, zdolny innych ucieńczyć, ale pozostawił im możność utrzymania go w karchach przez obwarowanie prawami. Obaczmyż teraz, czy ten popęd aby wiele pracować, a w skutku tego żeby wiele posiadać, jest jednym z owych popędów niecných, które trzeba hamować i stłumić: w tém zawiera się całe pytanie.

Widzę człowieka który pilnie pracuje i zbioru nagromadza; czy on komu krzywdę wyrządza? Nie szcędząc znoju uprawia ziemię wytrwale, obok drugiego, który za ledwo pola się dotknie. Ma spięchrze pełne, obok sąsiada który je ma próżne albo tylko do połowy napelnione. Czy temu sąsiadowi szkodę wyrządził? czy go pozbawił plonów, czy mu je wydarł? O! w takim razie byłaby kradzież, gwałt, krzywda. Ale on pracował, pracował więcej i lepiej niż drugi. Nie szkodził mu więc, nie skrzywdził go. Znalazło się trochę więcej zboża na gruncie, trochę więcej bogactwa w społeczności, otóż wszystko co się stało. Jakąż krzywdę, sam się bogacąc, wyrządza tym co go otaczają? żadnej, bez wątpienia.

Czy ma społeczność jaki powód, jaką korzyść aby mu przeszkodzić? Bynajmniej; byłaby szaloną, gdyby bez żadnej korzyści dążyła do zmniejszenia masy rzeczy ludziom użytecznych lub potrzebnych.

Nie ma więc w tém nic złego ani dla indywidualów, ani dla społeczności, i społeczność winna dozwolić człowiekowi używać swoich zdolności ile mu się podoba.

W tym dostatku jest wszakże jedno złe: porównywasz z nim swą biędę, obraża cię, obudza twą zazdrość. Jestto złe, złe bolesne, ale które zkadinał się wynagradza, i społeczność, pilnie wszystko rozważywszy, uznaje to wynagrodzenie za tak wielkie, że we wszystkich krajach, we wszystkich czasach osądziła za lepsze dozwolić zazdrości cierpieć, a dostatkowi indywidualów wzrastać, w miarę ich zdolności albo natężonej pracy. Wynagrodzenie zaś to jest następne:

Większej części rzeczy potrzebnych ludzie nabycją drogą zamiany. Nie wszyscy wszystko robią: każdy obiera sobie swój rodzaj zatrudnienia, wyłącznie do niego się sposobi, a tak ludzie do tego przychodzą że robota lepiej się wykonywa. Następnie dają część płodów swęj pracy za płody które im są także potrzebne, a które inni wyrabiają, zkad taki wynika skutek: Kiedy jest więcej

zboża, na przykład, albo więcej płótna, zboże i płótno stają się tańsze. Jest ich więcej dla każdego. Ten więc, kto folgując swęj chęci i zrzeczności do pracy, bogaci się, i tém zazdrość twą obraża, przyczynił się do pomyślności ogółu, a mianowicie do twojęj. Jeżeli, dzięki jego usiłowaniom, jest więcej zboża, albo więcej żelaza, albo więcej płótna, albo więcej narzędzi, albo więcej pieniędzy, jest tego wszystkiego więcej dla wszystkich. Obfitość dóbr do których stworzenia się przyczynił jest korzyścią dla ludzkości, i społeczność dozwala mu bogacić się, chociażby z tego wynikała nierówność w stosunku do innych, którzy nie tak dobrze pracują; dozwala mu tego, bo pomyślność ogółu wzrasta zarazem z jego pomyślnością. Społeczność ujęłaby w karby indywidualum, które chciałoby społecznym braci uciemiężyć: ale ten, kto używa zdolności na pomnożenie przedmiotów ludziom użytecznych; czy to będą pokarmy, czy odzież, czy mieszkania; kto te przedmioty uczyni obfitsze, lepsze, zdrowsze, choćby sam dla siebie albo dla dzieci swoich zamienił tę żywność na wykwintne potrawy, tę odzież na purpurę, te domy na pałace, społeczność go do tego upoważnia, zachęca, nie dbając o kontrast, nie litując się cierpień zazdrośnika, bo i zazdrośnik sam, płaci wtedy pokarm, mieszkanie, odzież taniej, a jeżeli i on z kolei produkować ze-

chce, dostanie pieniędzy za tańszem wynagrodzeniem, łatwiej mu będzie pracować.

Zasada równości dobrze zrozumianej, nie nadwęża więc w niczem zasady własności, jakkolwiek ta ostatnia może stać się nierówną przez wyższość pracy jednego człowieka w porównaniu z drugim. Dotychczas, ile sędzę, łańcuch moich rozumowań przedłuża się, ale się nie osłabia.

ROZDZIAŁ VII.

O PRZECHODZENIU WŁASNOŚCI.

Że własność nie jest zupełna, jeżeli nie może być przekazywana drogą daru albo spadku.

Nic słuszniejszego, mówią sektarze przeciw którym walcę, nie sprawiedliwszego jak żeby człowiek używał plodu swęj pracy, żeby jadł owoce z drzewa które zasadził. Uznają więc własność osobistą na rzecz tego, kto pracą swą własność tę stworzył. Natura sama bowiem, mocniejsza od nich, zawstydyła ich, zmusza do milczenia w obec faktu tak prostego, tak oczywiście wyższego nad wszelki zarzut, że człowiek spożywa owoc któremu dał początek. Idą nawet dalej w swoich przyzwoleniach: dopuszczają że człowiek będzie posiadał więcej lub mniej, wedle tego jak w życiu

swém był więcej lub mniej zręczny, więcej lub mniej pracowity, że zatem jeden będzie miał wiele drugi mało, a ztąd zgadzają się na pierwszą nierówność dóbr, wynikającą z przyrodzonej nierówności zdolności ludzkich. Ale tu koniec ich concessyj. Człowiek, mówią, żeby używał owocu swój pracy, nie słuszniejszego; ale żeby owoc tej pracy był drugiemu przekazany, żeby ten drugi używał go nie nie robiąc, pogrążony w zdronych obyczajach których próżniactwo jest matką, to obraża najprostsze wyobrażenia słuszności; to nawet idzie wbrew skutkowi jaki społeczność miała na widoku uświęcając własność, a który nie był inny, tylko zachęcenie do pracy; to wreszcie ustanowione od Boga, gdy ludzi nierówno uposażył, nierówności przyrodzone pomnaża nierównościami sztucznymi, jakowe sprawują, że syn leniwiec, niezdolny, dlatego że dziedziczy po ojcu zdolnym, pracowitym, pędzi życie wszelakich używając rozkoszy, gdy obok niego, inny człowiek, pozbawiony tego dobrodziejstwa, żyje w najokropniejszej nędzy. Własność rozprzestrzeniona do tego stopnia że staje się dziedziczną, sprowadza zatem skutki będące w sprzeczności z jej zasadą, a które nie mogą być dopuszczone.

Oto jest istotnie punkt, nie powiem trudny, ale skomplikowany, rzeczy którą rozważam: kwestya

bowiem nasza, podobna do rzeki co oddalając się od źródła niezliczone tworzy zakręty, kwestya rozszerza się, rozwija, miesza z mnóstwem innych. Wszakże, to co przeciwnicy własności zaprzeczają, ja twierdzę; co oni odrzucają, ja to uznaję za niezbędną, i oto są moje założenia wbrew przeciwnym ich założeniom:

Albo własność jest, albo jej nie ma;

Jeżeli jest, pociąga za sobą darowiznę;

Jeżeli pociąga za sobą darowiznę, pociąga ją dla dzieci, zarówno jak dla indywiduów obojętnych;

Pociąga ją za życia ojca, równie jak przy śmierci;

Przez to rozszerzenie swych skutków, nie tylko nie sprzyja próżniactwu, lecz przeciwnie nieinaczej może zostać podnietą do pracy potężną, nieskończoną, jak tylko pod warunkiem że będzie mogła przechodzić od ojca na dzieci.

Nakoniec, nierówności nowe i większe ztąd wynikające są niezbędnie potrzebne, i stanowią jedną z harmonij najpiękniejszych, najobszerniejszych społeczności ludzkich.

Słowem, własność nieinaczej wywiera wszystkie swoje skutki, najlepsze, najobszerniejsze, jak pod warunkiem że będzie zupełna, że stanie się osobistą i dziedziczną.

Oto są założenia, które w rozdziałach następnych zamierzam tak dalece wyjaśnić, iż spodziewam się wszelki zarzut uczynić niepodobnym.

ROZDZIAŁ VIII.

O DAROWIZNIE.

Że darowizna jest jedną z form koniecznych używania własności.

Zgadzasz się, że sam mogę używać tego co sprodukowałem, że owoców mojej pracy osobistej mogę używać na zaspokojenie moich potrzeb, moich przyjemności. A gdybym te owoce dał komu innemu, czy to będzie czyn nieprawy, przynoszący ujmę, krzywdę, niebezpieczeństwo dla społeczności ludzkiej?

Przypuśćmy najprzód, iż sprodukowałem więcej niż mogę spożyć: każdy człowiek zręczny i pracowity znajduje się w takim przypadku; cóż pocznę z moją przewżyką? Mam spiachrze pełne zboża, składy pełne owoców, lochy pełne wina; z welny owiec

moich mam więcej odzienia niż użyć mogę, wszystko to dlatego, że uprawiałem pola swe pilniej i lepiej niż drugi; cóż pocznę z temi dostatkami? Mamże jeść więcej niż głód wymaga, pić więcej niż pragnienie każe, mamże tę przewyżkę wyrzucić na jakie śmiećisko umyślnie ku temu przeznaczone, albo też nakoniec, co daleko prostsza, nie produkować jej wcale? Jeżeli przewyżki mej pracy nie dozwolisz mi użyć według woli mojej, koniecznie ztąd wyniknie jeden z trzech skutków następujących: albo muszę spożywać nad potrzebę moję, albo muszę niszczyć, albo nie produkować. Lecz jest sposób użycia przewyżki moich dóbr, który pod sąd twój oddaję.

Na granicy pola mego spostrzegam nędzarza, umierającego ze znużenia i głodu. Biegnę do niego: wlewam mu w usta trochę tego wina którego miałem nadto; daję mu kilka tych owoców z którymi nie wiedziałem co począć; okrywam go jedną z tych sukni których miałem kilka, i widzę jak wraca do życia, łza dziękczynna spływa z jego oka, uśmiech wdzięczności rozjaśnia twarz jego, a ja doznaję w sercu rozkoszy daleko większej, niż przyjemność jakiej doświadczałem gdy sam spożywałem owoc mego pola. Czyliżbyście mogli chcieć ograniczyć mnie w używaniu mojej własności do tego stopnia, iżbym nie mógł jej używać w spo-

sób dla mnie najprzyjemniejszy? Czy dozwoliwszy mi używania rozkoszy fizycznych z własności, odmówicie mi z niej rozkoszy moralnych, najszlachetniejszych, najżywszych, pożyteczniejszych nad wszystkie inne? Prawodawco nienawistny! dozwolilbyś mi dobro moje zjeść, roztrwonić, zniszczyć, a nie dozwolisz darować? Chciałbyś abym ja sam, tylko ja sam pozostał celem trudów mego życia! Tak czyniąc upadlasz mą pracę, odejmujesz jej wszelki urok, odejmujesz mi chęć i wolę do niej. Zresztą sądź o fakcie po skutkach. Powiedziałem wyżej, że gdyby każdy człowiek mógł rzucić się na sąsiada aby mu wydrzeć jego pokarm, gdyby ten sąsiad podobnie uczynił drugiemu, społeczność zostałaby wtedy dziedziną rozboju, zamiast być dziedziną pracy. Przeciwnie, przypuść, że każdy człowiek mający zawiele da temu co nie ma dosyć, a świat zostanie dziedziną dobroczynności. A nie lękaj się aby człowiek kiedykolwiek zadaleko posunął się na tej drodze, i sąsiada uczynił próżniakiem biorąc na siebie całą jego pracę. W sercu ludzkim właśnie tyle tylko mieści się dobroczynności aby utrzymać równowagę nędzom człowieczeństwa, i zaledwie upomnienia nieustanne moralności, nauki religii, zdołają zrównać lekarstwo z chorobą, balsam z raną.

Tak więc darowizna jest najszlachetniejszym sposobem używania własności. Jestto, powtarzam, rozkosz moralna, dodana do przyjemności fizycznej. Dosyć, dosyć, zawołają moi przeciwnicy, dowodzis tego, co dowodzenia nie potrzebuje. Wyznam że tak jest, ale idźmy dalej, a może toż samo mi powiedzą o wszystkiem co jeszcze mi zostaje do wyjaśnienia.

ROZDZIAŁ IX.

O DZIEDZICTWIE.

*Że z darowizny wypływa dla ojca moc darowizny dzieciom za życia
swoego albo po śmierci.*

Zgadniają się ze mną, że darowizna jest jednym ze sposobów koniecznych, niezaprzeczonych używania własności. Teraz postąpmy krokiem dalej. Cóż! mógłbym dawać osobom obojętnym, tym co są dla mnie niczém, ale których cierpienie mnie obeszło, a nie mógłbym dawać mojej żonie, moim dzieciom, mojej żonie co życie ze mną dzieliła, moim dzieciom co od niej i odemnie pochodzą, tym istotom, które droższe są dla mnie niżeli własna moja osoba! Kiedy są głodne, kiedy cierpią chłód, jeżeli nie jestem zepsuty, większego doświadczaam głodu, większego zimna w nieb, niżeli

w sobie samym. Ich potrzeby są mojem, i większego mi dodają bodźca niżeli moje własne. Czyliż więc nie pozwolicie mi wybierać pomiędzy potrzebami których doświadczam, zaspokoić te najprzód które żywiej czuję, i utulić głód dotkliwszy dla mnie niżeli ten, jaki doskwiera we własnym moim żołądku? Pozwolicie mi więc nakarmić dzieci moje wprzód niżeli nakarmię sam siebie. Jeszcze to nie wszystko. Dzieci te, przecież potrzeba żeby przez część ich życia ktokolwiek opatrywał, gdyż przynajmniej przez czwartą część tego życia zbyt są słabe iżby same sobie wystarczyć mogły. W stanie dzikości, na przykład, trzeba drapać się na drzewo żeby zerwać owoc; w społeczności ucywilizowanej znajdujemy chleb, dopiero nań zapracowawszy. Ale jeżeli kto żywić je powinien, któż się tego podejmie, jeżeli nie ja, ja ich ojciec, co jestem sprawcą ich dni? Orzeł, jaskółka dają mi przykład ten, który zapewne naśladować mi pozwolicie! — Dosyć, dosyć, powiedzą mi znowu moi przeciwnicy, dowodzisz tego co nie potrzebuje dowodzenia. Ale dokądże zajdę tą drogą, żebym znalazł to co potrzebuje dowodzenia?

Nie masz własności, jeżeli nie mogę dać jej równie jak używać: zgadzają się w tém ze mną. Jeżeli dać ją mogę osobom obojętnym, tém bardziej mogę ją dać dzieciom moim, które nawet mają

konieczną tego potrzebę przez część swego życia: zgadzają się ze mną i na to. Mogę więc dawać drugiemu: w obiorze tego drugiego mogę, powinienem dać pierwszeństwo dzieciom moim. Gdzież się zaczyna trudność? W chwili kiedy mam umrzeć; — to jest że mogę dawać we wszystkich epokach życia, wyjąwszy epokę mojej śmierci. Jakże! w tém byłaby jedyna różnica pomiędzy prawem którego się domagam, a prawem jakiego mi zaprzeczają! Ale ta różnica byłaby albo żadna, albo barbarzyńska, albo nierozsądna.

Wnijdźcie do schronienia domowego, wstąpcie do tego świętego wnętrza, i powiedzcie czy zdołacie tu przeniknąć w sposób dość pewny, dość znośny, żeby przeszkodzić iżby ojciec nie oddał synowi tego co chce mu przekazać w chwili zgonu? Jeżeli pozwolicie ojcu aby dawał za życia, nie zaś po śmierci, postara się ogołocić siebie jeszcze za życia. Na dzień, na godzinę przed zgonem, da z ręki do ręki dobra ruchome, łatwo przenośne ułoża konającego, jakoto pieniądze, klejnoty, albo papiery wynalezione dla dogodności handlu. Dobra nieruchome, których przejście do innych rąk trudniejsze, jakoto ziemię, domy, przedmioty wiele zabierające miejsca, te odda rokiem, dwóma laty, dziesięcią laty przed zgonem, albo je sprzeda, sprzeda za becen, żeby zamienić w papiery, mogące być przekazywanemi podług

woli. Słowem zapobiegnie waszemu prawu ogółając się za życia. Ale, z tej konieczności pozbycia się majątku przed śmiercią do jakiej go zmuszacie, wynikną dwa skutki. Dobry ojciec może być ukarany za dobroć swoją, zły ojciec wynagrodzony za egoizm. Dobry ojciec, ogółający się z majątku przed śmiercią, znajdzie może niewdzięcznego syna: nie będzie mógł posadzić drzewa, wykopać strumienia, na tym polu, które dał synowi swemu, i żyć będzie jako obcy pośród dóbr które utworzył, i których się pozbył przed czasem, z obawy żeby syn otrzymać ich nie mógł. Zły ojciec, przeciwnie, co by nie chciał pozbyć się majątku, albo też ów ojciec, co by nie umiał pomyśleć o śmierci żeby zapewnić przyszłość dzieci, używać będą majątku, używać będą podług woli aż do końca dni swoich. A tak dobry ojciec zostałby wywłaszczony, zły ojciec posiadałby własność aż do ostatniej godziny!

Przy tak ohydnych skutkach czyliż mnie znowu nie zatrzymacie i nie powiecie: Dosyć! dosyć! — Tak, nie dodam nic więcej, bo rzecz oczywista że gdy natura włożyła w serce człowieka, a nade wszystko dobrego, niepokonaną skłonność do przekazania tego co posiada synowi swemu, gdy domowe ustronie przeniknionem być nie może, ojciec odda dzieciom, mimo wszelkie zakazy,

największą część dóbr swoich, z ręki do ręki; przeistoczy je żeby tém łatwiej mógł je przekazać, albo jeżeli nie może ich przeistoczyć, ogółoci się z nich przed śmiercią, żeby mieć większą pewność iż użyje ich według serca. W takim razie, prawodawca, pewny, że utworzy potworności jeżeli uporczywie sprzeciwiać się będzie naturze, i że nadto nie znajdzie posłuszeństwa chcąc się jej sprzeciwiać, uwolni ojca od tych nienawistnych ostrożności, i zgodzi się żeby po jego śmierci majątek jego przeszedł z prawa na dzieci; zgodzi się jednym słowem na dziedzictwo własności.

I zobaczcie jak niedorzeczni byliby skutki przeciwnego postanowienia! Ojciec, jakem powiędział, nie będzie mógł dawać ziemi, domów, rzeczy mogących uleść zajęciu, ale odda wbrew wam rzeczy ruchome, niemogące być zajętemi, przechodzące z ręki do ręki, na godzinę przed skonaniem! Przelew z ojca na syna istniałby więc dla pewnych rzeczy, a dla innych nie! Ale są dobra daleko kosztowniejsze, których przekazaniu żadne przepisy świata nie zdołają przeszkodzić. Ten jest biegłym rzemieślnikiem i posiada tajemnicę hartowania metalów; ów lekarzem i posiada tajemnicę leczenia: czyliż mu przeszkodzicie, aby na śmiertelnem łożu schylił się do ucha syna i zapewnił mu majątek wyrzeczeniem jednego słowa?

Kto inny był wielkim politykiem, i rozum miał w udziale; inny znowu był wielkim wodzem, i posiadał sławę. Czyliż przeszkodzicie pierwszemu przekazać swój rozum synowi przez nauki całego swego życia? Czyliż przeszkodzicie drugiemu przekazać mu sławę, przekazując mu tylko swe nazwisko? Trzeci, należąc do wszelkich spraw ojczyzny, ma opinie religijne i polityczne, które są mu drogie: nie przeszkodzicie mu zapewne zaszcześcić je dzieciom. Gdy więc rzeczy moralne, które powinny być najszacowniejzemi ze wszystkich w oczach waszych, jeżeli nie jesteście prawodawcami oddanymi czci materyi, przekazywane są nieodzownie, rzeczy materyalne, ponieważ są materyalne, przekazywane byćby nie miały? Pieńniędze może, dyament, jako najłatwiej przechodzące z rąk do rąk po owych rzeczach moralnych, przechodzić także będą z pokolenia w pokolenie; ziemia tylko, kiedy ojciec nie pomyśli o wyzuciu się z niej, wstrzymana ma być w przejściu! Czy pomyśliłeś dobrze o tych potwornościach? Czy nie zawstydziliś się, nieustraszony sofisto?

Uważam jako najdostateczniej udowodnione następujące twierdzenia:

Skoro darowizna uznana jest za jeden z koniecznych środków używania własności, daro-

wizna jest nieuchronną, nadewszystko na korzyść dzieci;

Nieuchronna jest we wszystkich epokach życia ojca, i potrzeba, udzielając mu pełne prawo przekazywania dóbr swoich dzieciom, w chwili zgonu, uwolnić go od ogoławania się z nich za życia.

ROZDZIAŁ X.

○ WPŁYWIE DZIEDZICZNOŚCI NA PRACĘ.

Że władza przekazywania własności z ojca na syna, czyni nieskończonym zapał do pracy i uzupełnia systemat własności.

Dwa są zawsze stanowiska na których umieścić się należy kolejno w przedmiocie który roztrząsam, i które, dzięki przedziwnym kombinacyom przyrodzenia, zawsze znajdują się z sobą w doskonałej zgodzie; temi stanowiskami są: słusność i pożytek społeczności. Słusność, jestto uważanie przedmiotu ze stanowiska osoby pojedynczej; użyteczność społeczna, jestto uważanie przedmiotu ze stanowiska saméjże społeczności. Słusność woła, że człowiek co pracował, powinien zażywać w pokoju owoców swojej pracy, i że wymagać nie trzeba żeby się ogołacał z nich przed

śmiercią żeby ułatwić ich przelew na dzieci. Pożytek społeczny wymaga koniecznie żeby człowiek miał sobie zapewnione zachowanie owocu swéj pracy dlatego aby pracował, gdyż bez pracy stałby, uporeczywéj wszystkich jéj członków, społeczność pozostałaby nikczemną. Tenże pożytek społeczny wymaga również koniecznie żeby człowiek mógł przekazywać dzieciom swoim, gdyż inaczej, miałby tylko połowę zapału do pracy. Słowem, własność, jakem zapowiedział, nie ma wszystkich swych użytecznych skutków aż wtedy dopiero kiedy jest zupełną, to jest osobistą i dziedziczną razem.

Niewięcej potrzebować będę rozszerzać się żeby ustalić to stanowisko, niż potrzeba mi było rozszerzać się żeby ustalić poprzedzające.

Chcą żeby człowiek pracował, a dlatego żeby pracował, zapewniają mu posiadanie tego co sprodukuje. Wiele już znaczy to pierwsze zapewnienie zupełnie osobiste, ale tego jeszcze niedosyć. Skłonić to zdoła go do pracowania trzecią część, połowę może jego życia, ale nie skłoni do pracowania przez całe życie, nadewszystko nie zapewni mu największej słodyczy pracy, to jest przekazywania majątku dzieciom.

Człowiek ma wady, ma wszelkiego rodzaju. Okazuje się niekiedy srogim i okrutnym względem

bliźnich; ale nie jest nim nigdy prawie względem swoich dzieci; gdyż chcąc zapewnić zachowanie rodu ludzkiego, przezorna natura głęboko zaszczerpiła w jego sercu miłość rodzicielską, i z uczucia tego zrobiła nie już enotę, ale instynkt niepokonany. Ojciec co kradnie, co zabija, często daje dzieciom swym rzecz którą ukradł, i poświęca ich obronie okrucieństwo jakiego się dopuścił względem innych. Przypatrzmy się też większej części ojców, co przyszli do pewnego wieku: dla kogo oni pracują bez ustanku, nawet kiedy podupadać zaczynają na siłach? Pracują dla dzieci, i szczęśliwi są z ciężkich swoich trudów, na samą myśl że istoty pochodzące z ich wnętrzości plon tego odniosą.

Patrzcie na zręcznych przemysłowców, którzy z bogacili społeczność rozumnymi odkryciami lub śmiałościami wyprawami handlowymi, którym wiśniemy że o połowę taniej płacimy bawełnę, len, wełnę, cukier; przypatrzmy się ich upodobaniom, rodzajowi ich przyjemności, a wkrótce zobaczymy co ich do czynności pobudza. Po największej części, są to ludzie prości, skłonności skromnych, którym natura udzieliła geniusz, ale społeczność zaniedbała udzielić im wychowania, i którzy zebrawszy ogromny majątek, dostarczywszy dzieciom swoim pałace, zamki, umeblowania wspa-

niałe, obrazy będące arcy-dziełem sztuki, obiady hojnie zastawione, rumaki ogniste, parki napelnione zwierzyzną, uśmiechają się na przyjemność jaką dzieci ich w tém znajdują, cieszą się widząc ich uciechę, potem cieszą się sami po swojemu, jednym zawsze sposobem, powracając do swoich warsztatów, do magazynów, do okrętów, szczęśliwi myślą, że te wszystkie bogactwa których oni tak mało używają urosną jeszcze na korzyść dzieci, w osobie których stają się oni czulemi na wszelkie rozkosze jakich ocenić nie umieją, i jakich nigdy nie znali. Przypuśćmy, że wszystkiego co zebrali tym sposobem nie będą mogli przekazać potomkom: zatrzymaliby się w połowie swego zawodu, w chwili kiedy ich władze były najczynniejszymi. Im więcej byliby zdolni i biegli tém wcześniejęby się wstrzymali, gdyż tém wcześniejęby zyskaliby to co wystarczałoby ich upodobaniom prostym i ograniczonym, a tak, z obawy żeby nie było dzieci próżniaków, zaczęlibyście od zapewnienia próżniactwa ich ojca.

Szkodliwy więc byłby sposób wzięcia się do rzeczy, żeby nie mieć próżniaków na tym świecie, odbierać rodzicom główną pobudkę co ich skłania do pracy. Nie omieszkają powiedziéć, bez wątpienia, że ludzie pracowici, o których mówię, poświęciwszy swe życie pracy, nie przestaliby pracować, nawet gdyby nie mieli dzieci, jedynie przez nalog

albo emulacją. Możeby tak było z niektórymi, co się stają owemi wujaszkami bogatemi, przedmiotem tak licznych i tak nędznych komedyj. Ale gdzież nabrali nałogu takiego zapалу do pracy? W społeczności, gdzie własność przyjęta we wszystkich stopniach, obudziła zapal każdego; i jak koń w zaprzęgu, pędzącym galopem unosi się wraz z innemi, biegną, ponieważ obok nich wszyscy biegną. Nie nabraliby ani tego upodobania, ani doswiadczyli tej emulacji w pracy w społeczności oziębioniej, złodowaciałej barbarzyńskim zakazem przekazywania majątku dzieciom. Robiliby jak koń gorący, co idzie stępo z końmi idącemi stępo. Ale nareszcie, przypuściwszy że niektórzy, nagleni potrzebą zajęcia się, pracowaliby jedynie żeby pracować: prawodawco barbarzyński z sercem oschłém, udając czułość, odjąłbyś im największą słodycz pracy! Rzućcie okiem na człowieka bogatego i bezdzietnego, którego natura pozbawiła owę pociechę głębokiej, niekiedy tak bolesnej dlatego właśnie że jest tak żywa; patrzcie na jego czechość, rozczarowanie, niesmak w miarę jak postępuje coraz dalej w życiu. Wieczorem, kiedy zamknął swoje kassy, policzył skarby, nie wie co robić; i jeżeli pozostaje mu chwila do rozważań, to dla zapytania siebie, jak użyje tych bogactw, tak ciężko nagromadzonych. Ale zużył się pracą

całodzienną, zasypia, przebudza się, znowu pracuje nazajutrz, odurza się zarobkiem, a gdy wieczór nadejdzie, doświadcza téjże czechości co wczora. Wówczas udaje się do brata, do siostry, prosi o dzieci z nich zrodzone, przysposabia je, przybliża do serca swego, próbuje kochać ich, ludzi siebie, wmawiać sobie że sam jest ich ojcem. Albo, jeżeli nie ma synowców, udaje się niekiedy do biednej kobiety wiejskiej, żeby dostać od niej przedmiot miłości, któryby służył za cel zabiegom jego życia.

Ta czechość człowieka pozbawionego dzieci miałaby więc być udziałem wszystkich tych, którzy z nałogu albo z potrzeby zajęcia się rosili ziemię swoim znojem, i pracowali nad zbogaceniem społeczności? Ale jestto marne złudzenie. W waszej społeczności złodowaciałej, wszelki zapalby zagasł, ostygłoby wszelkie spółubieganie się; nie mielibyście tych ambicj co się zapalają otaczającym je ogniem. Człowiek, siebie tylko mając za cel, zatrzymałby się w połowie swego zawodu, skoroby doścignął kresu starości, i, jak powiedziałem wam, z obawy niezrobienia próżniakiem syna, zaczęlibyście od nakazania ojcu aby próżnował.

Alte przytém czyliż prawda, że pozwalając dziedzicznego przekazywania majątków, syn będzie koniecznie próżniakiem, trawiącym w lenistwie i roz-

puścić majątek zostawiony mu przez ojca? Najprzód ten majątek z którego wyniknąć ma próżnowanie syna, cóż przedstawia w istocie? Pracę poprzedniczą, która była pracą ojca. Przeszkadzając ojcu pracować żeby znuwolić samego syna do pracy, wygralibyście tyle tylko, że syn musiałby robić to, czego ojciec nie zrobił. Nie byłoby jedną pracą więcej. W systemacie dziedzictwa, przeciwnie, do pracy nieograniczonej ojca łączy się praca nieograniczona syna, bo nieprawda że syn się zatrzymuje dlatego że ojciec mu przekazał mniej lub więcej znaczną część majątku. Najprzód, rzadko się zdarza żeby ojciec przekazał synowi środek nie nie robienia. W przypadku nadzwyczajnych bogactw to się tylko trafia, o czém wkrótce powiem. Ale pospolicie, w większej części professyj, tylko punkt wyjścia dalej posunięty w zawodzie ojciec zapewnia synowi, przekazując mu spadek po sobie. Posunął go dalej, wyżej, dał mu czém pracować z większemi środkami, być dzierżawcą kiedy on tylko służył u dzierżawcy, lub wystawić dziesięć okrętów kiedy on wystawić mógł tylko jeden, być bankierem kiedy on tylko utrzymywał mały kantor wexlu, albo odmienić zawód, podnieść się z jednego do drugiego, zostać notaryuszem, lekarzem, adwokatem, być Cyceronem albo Pittem, kiedy on sam był tylko prostym rycerzem, jak ojciec Cycerona,

albo kornetem w pulku, jak ojciec Pitta. Słowem postawił go na bardziej posuniętym stanowisku w zawodzie społecznym, błogosławi go widząc jak się w ten zawód puszcza, i umiera szczęśliwy widząc postępującego tam szybkim krokiem. Ale pobudka co go skłoniła do posunięcia się naprzód jak tylko można dalej, skłania i syna jego do takiegoż postępowania. Podobnie jak on myślał o swoich dzieciach i o nich myśląc stawał się niezmordowanym, syn jego myśli także o dzieciach swoich, i przy tej myśli podobnie niezmordowanym się staje.

W systemacie znoszącym dziedzictwo, ojciecby się zatrzymał, syn także; każde pokolenie ograniczone w swojej płodności, jak rzeka której wody są zatrzymane tamą, wydawałoby tylko część tego co ma w sobie, i przerwałoby w czwartęj części lub w połowie pracę, do której było zdolne. W systemacie dziedziczności dóbr, przeciwnie, ojciec pracuje ile może, do ostatniego dnia życia: syn, którego jedyniemiał na widoku, podobnież ma na widoku swoje dzieci, i pracuje dla nich jak pracowano dla niego, nie więcej się zatrzymuje niżeli zatrzymywał się ojciec, i wszyscy, pochyleni ku przyszłości jak robotnik nad młynem ręcznym, obracają bez ustanku koło, z kąd się sypie błogi byt na wnuki, i nie tylko pomyślność rodzin pojedynczych, ale też pomyślność rodu ludzkiego.

Wyprowadźmy ztąd wnioski: Stanowiąc własność osobistą, społeczność udzieliła człowiekowi jedyne go bodźca, coby mógł go zachęcać do pracy. Pozostawała jęj jedna jeszcze rzecz do zrobienia, to jest uczynienie tego bodźca nieskończonym. Tego właśnie chciała stanowić własność dziedziczną.

ROZDZIAŁ XI.

O BOGACZU.

Ze nagromadzenie majątku wynikające z własności, tak osobistej jak dziedzicznej, składa to co nazywają bogactwem. które pełni w społeczności wiele koniecznych obowiązków.

Z własności, zabezpieczonej pojedynczemu człowiekowi i jego dzieciom, wynika nagromadzenie bogactw, mniej lub więcej szybkie, któremu niekiedy wystarcza jedno pokolenie jeżeli się zdarzy człowiek szczęśliwie uposażony, lecz na które zwykle kilka składa się pokoleń, i tym sposobem powstają wielkie majątki, które zwracają na się oko, jak owe sterty zboża, stojące wzdłuż dróg przy polach urodzajnych. Widok ten, wiem dobrze, razi niektóre oczy, ale coż począć?

Powtórzę tutaj co już powiedziałem gdzieindziej o pierwszych nierównościach majątku, wynikających,

w samymże związku społeczeństw, z przyrodzonej nierówności władz ludzkich; że cierpieć je trzeba, gdyż te większe udziały bogactwa ogólnego nikomu odebrane nie zostały; że aby im przeszkodzić należałoby zatrzymać człowieka i powiedzieć mu: „Nie pracuj tak wiele“; i że nakoniec każdy ztąd korzysta, nawet zazdrosny, gdyż jeżeli więcej jest żywności, odzieży, pomieszczeń, te wszystkie przedmioty do życia potrzebne, tańszemi są dla każdego.

Przeważny zatem jestto wzgląd żeby nie przeskadzać owym upartym pracownikom, ponieważ nie nie odbierają nikomu, a udzielają coś wszystkim. Pozostaje tylko wrażenie dla oczu. Jeżeli to bogactwo razi jednych, tedy dodaje bodźca drugim, zachęca ich, pokrzepia, ożywia, i społeczność tyle znajduje korzyści w zachęceniu jakie ztąd wynika dla ogółu jej członków, że powinna nie zważać na gniew, obudzony w niektórych z pomiędzy nich. Zobaczmy czy dla ścierpienia bogactwa społeczność ma te tylko przyczyny, które są już dobre, jak mi się zdaje? czy nie ma jeszcze innych? Łacno osądzić.

Bez wątpienia, nie chcemy mieć w społeczności jedynę tylko pracy, pracy ręcznej. Chcemy także żeby człowiek mógł przyłożyć cyrkiel do papieru, dla wymierzania biegu gwiazd, i nauczania się przebywać morza; chcemy żeby mógł ślęczyć

część dnia nad dziejami narodów, by odkryć przyczynę pomyślności albo upadku mocarstw, i uczyć się jak niemi rządzić. Przecież człowiek co od jednego słońca do drugiego zgina się nad rolą, albo nad machiną, nie może do tego znaleźć czas wolny. Niekiedy, prawda, kmięć będzie Sforzą, zecer będzie Franklinem, ale te wyjątki rzadkie. Synowie zaś ludzi oddanych pracy ręcznej, wywyższeni nad swój stan przez ojca pracowitego, oni to wstępować będą na wyższe szczeble stanów społeczności, i zajmą się wzniosłemi pracami rozumu.

Ojciec był chłopem, robotnikiem w rękodzielni, majtkiem na okręcie. Syn, jeżeli ojciec był pracowity i oszczędny, syn będzie dzierżawcą, rękodzielnikiem, kapitanem okrętu. Wnuk będzie bankierem, notaryuszem, lekarzem, adwokatem, może nawet rządcą kraju. Pokolenia tym sposobem podnoszą się jedne nad drugie, wzrastają, w pewnym względzie podobne do drzewa, co za każdym powrotem pięknej pory puszcza odrośle nowe, które świeże, miękkie i zielone jak trawa na wiosnę, przybierają w jesieni kolor i moc drzewa, potem wyrosłszy na gałązki w roku następującym same pokrywają się z kolei innemi odroślami, z czasem zamieniają się w grube gałęzie, zastępują nawet pień główny, i gdy podobne zjawisko powtarza się we wszelkich kierunkach,

osłaniają nareszcie ziemię wspaniałym swym ciemniem.

Tak się odbywa wegetacya ludzka, i powoli tworzą się w społeczności klasy bogate, które nazywają bezczynnymi, które jednak niemi nie są, bo praca umysłu warta jest pracy rąk, i następować po niej powinna, jeżeli chcą żeby społeczność nie pozostawała barbarzyńską.

Zgadzam się że pomiędzy bogaczami są tacy, niegodni synowie rozumnych ojców, co w noc, wśród biesiad, otoczeni nierządnicami, upojeni trunkiem co im mąci głowę, trawią w próżnowaniu i rozpuszceniu swoją młodość, zdrowie, majątek. Jest to aż nadto wielka prawda; ale wkrótce też będą ukarani. Młodość ich przekwitnie przed czasem, majątek zniszczy się przed kresem ich zawodu, a oni, smutni, zeszpeceni i ubodzy przechodzić będą koło pałaców które im przekazali ojcowie, a które nierozumnie ich marnotrawstwo oddało w ręce rozsądniejszych bogaczy, i, w ciągu jednego pokolenia, ujrzymy pracę wynagrodzoną w ojcu, próżniactwo ukarane w synu! O zazdrości, nieublagana zazdrości, czyliż nie pocieszyłaś się?

Przytém, czyliż dzieci bogacza wszystkie są próżniacy, rozpustnicy, marnotrawcy? Prawda że nie praeują tak jak ten co orze, przedzie lub kuje. Ale

pytam raz jeszcze, czyliż tylko jedna jest praca ręczna? Czyliż nie potrzeba, powtarzam, ludzi poświęconych zgłębianiu przyrodzenia, odkrywaniu jego praw, żeby ich użyć na korzyść rodu ludzkiego, żeby nauczać jak używać wody, ognia, żywiołów, żeby nauczać jak urządzać społeczeństwa, jak niemi rządzić? I to jeszcze prawda że nie bogacz najczęściej robi takie wzniosłe odkrycia, chociaż i on niekiedy; ale on zachęca do nich, on przyczynia się do utworzenia światłej publiczności, dla której pracuje uczony skromny a ubogi; on ma ogromne biblioteki, on czyta Sofoklesa, Wirgiliusza, Dantego, Galileusza, Kartezjusza, Bossueta, Moliera, Rasyna, Montesquieu, Woltera. Jeżeli nie on sam, tedy u niego, około niego, czytają ich, smakują w nich, oceniają, i składają ową społeczność światłą, ogładzoną, ze smakiem wywieczonym i wytwornym, dla której geniusz pisze, śpiewa i powleka płótno farbami! Niekiedy ten bogacz sam nawet jest dobrym sędzią, niekiedy jest także jednym z owych niepospolitych umysłów, które nie przestają na bawieniu się dziełami geniuszu, ale sami też świetne dzieła wydają. Bogaczem był Sallustyusz, bogaczem Seneka, bogaczem Montaigne, bogaczem Buffon, bogaczem Lavoisier; jest nim także znamienity mąż stanu co przewodniczy losom swojej ojczyzny.

I tak, prosty przedarz welny nagromadza ogromne bogactwa; jest Anglikiem i nazywa się Peel. Poświęcając życie swe warstatom, niewiele jest biegły w znajomości spraw krajowych, ale szafuje dla syna swego wszelkimi rodzajami umiejętności, a ten syn wywyższając się nad ojca, łącząc do najrozleglejszych wiadomości wpływ majątku, staje się jednym z najpięrszych mężów stanu w Anglii, i zajmwszy miejsce pomiędzy starymi rodami a nowymi, rządzi ojczyznę w szczęśliwem połączeniu ducha dawnego z duchem nowym. Czyliż to tak szkaradne jest widowisko, ojca, co używszy zdolności swoich w zyskowny sposób, dostarcza synowi środków ku użyciu ich w sposób mniej zyskowny, ale szlachetniejszy i wznioślejszy? Czyliż nie jest dobrze, czyliż nie jest potrzebnie, żeby po jednem użyciu następowało drugie? Pozwólcie mi przytoczyć inne jeszcze przykłady, które w swoim czasie gniewały wielu zazdrosnych.

W rzeczypospolitej najpłodniejszej w bogactwa i areydziała, gdyż w niej przyszli na świat: Dante, Petrarca, Bokkaeus, Machiawel, Galileusz, Ghiberti, Brunelleschi, Lionardo da Vinci, Michał Anioł, w tej rzeczypospolitej co rozkrzewiła po Europie sukno, jedwab, axamit, wyroby jubilerskie, floreny, kredyt, była rodzina sławnych kupców, którzy przekazali swe imię jednemu ze trzech wielkich

wieków ludzkości, ród Medyceuszów! Czy znajdziecie bardzo złemi przykłady, jakie oni dali światu?

Jan Medyceusz (de Medicis), w roku 1400, założył fortunę swojego domu. Łagodny, roztropny, pracowity, posiadający w najwyższym stopniu ducha handlowego, nagromadził ogromne bogactwa, i mając wstręt jak mędrzec do spraw publicznych, nawet nieco melancholik podług Machiawela, radził dzieciom żeby nigdy nie posuwały się do rządu. Pamiętajcie, mówił do nich na śmiertelném łożu, że nigdy nie chodziłem do starego pałacu (tojest pałacu rządowego) tylko kiedy mnie wołali (*che chiamato*).

Śczęściem rad jego niebardzo usłuchano. Syn jego Kozmas, otoczony najuczeńszymi mistrzami, biegły w naukach, sztukach pięknych, polityce, obdarzony śmiałym geniuszem, wmieszał się, bez względu na rady ojca, do spraw publicznych; był wygnany, powołany napowrót z zapałem; nie rządził, ale wywierał wpływ przez lat trzydzieści na rzeczpospolitą florencką, wzniósł przez Michelozzo zachwycający pałac swojej familii, żył w przyjaźni z Masaccio, Brunelleschi, Ghiberti, Donatello, Poggio, założył szkoły greckiego języka we Florenyi, pomnożył jeszcze więcej majątek swego rodu, a wszelako będąc politykiem i uczonym pozostał negocyantem. Ten negocyant atoli opuszczał

swój kantor w pewne święta, żeby udać się do prześlicznego ustronia Caffragiolo, i czytać tam, zgadnijcie co? czytać rozmowy Platona, które Poggio wy tłumaczył dla niego, a on zapłacił za to grubą summę złota. Syn jego Piotr za ledwo go przeżył, a sława jego domu przeszła na wnuka, tego którego potomność nie przestała kochać, uwielbiać, pod imieniem Wawrzyńca Wspaniałego (Lorenzo il Magnifico). Ten, bardziej jeszcze nieposłuszny radom dziada, całkiem zaniechał handlu, i był tylko uczonym i politykiem. Wychowany z Policianem i Pico-de-la-Mirandola, poeta, rycerz, celujący we wszelkich ćwiczeniach ciała, szpetny jak Sokrates, ujmujący jak Alcybiades, mąż stanu równie mądry jak negocyator niepokonany, ocalił ojczyznę zagrożoną koalicją powszechną, nakłonił do niej, zholdował słodyczą swego panowania wszystkie dwory Włoskie, zapewnił przez lat piętnaście głęboki pokój, który historycy włoscy nazwali złotym wiekiem swojej ojczyzny, pisał wiersze wyborne, kazał szukać i odkrywać po całej Europie najszacowniejsze rękopisma greckie i łacińskie, najpiękniejsze posągi starożytne, dał światu Michała Anioła; czarował, zachwycał przepychem swoim książąt włoskich, których zwabił do Florencyi w sprawie zgody powszechniej; o wszystkiem myślił, wyjąwszy o swym majątku,

rozszaflował go, nadwężył, ale tak widocznie dla dobra ogólnego, że wdzięczna Florencya oświadczyła iż skarb Medyceuszów stanowi jedno ze skarbem rzeczypospolitej; umarł nareszcie zabierając z sobą do grobu szczęście ojczyzny, bo kiedy roztropność, co ją szczęśliwą czyniła, zstąpiła z nim razem do trumny, Francuzi i Niemcy rzucili się na Włochy, pustoszyli je przez pół wieku, i uczynili je tém czém są dzisiaj jeszcze.

Czyliżby lepiej było gdyby to piękne zjawisko dziedzicznego przelewu nie istniało wcale? żeby fortuna Medyceuszów zatrzymana będąc na Jamie, Kozmas musiał trawić swoje życie na zaczynaniu jej na nowo; żeby, gdy znowu zatrzymano ją na Kozmie, Wawrzyniec musiał odnawiać ją jeszcze, i żeby żaden z nich nie znalazł czasu do zajmowania się sztukami pięknymi, literaturą i polityką?

Takie nagromadzenia majątku, będące koniecznym skutkiem pracy pobudzanej nieograniczenie, przynoszą swobodne chwile potrzebne do uprawy wyższych umiejętności. Tworzą one tę strefę społeczną, gdzie rozum niezawsze się rodzi, gdzie rodzi się niekiedy, ale gdzie potrzebuje gościć, żeby był smakowany, podbudzany, zachęcany. I tak, w głębokich kombinacjach swoich, natura pozostawiona samej sobie sprawuje, że jedna stosowność rzeczy odpowiada tysiącu drugim. Trzeba żeby człowiek

pracujący mógł zostać bogatym aby miał cel dla swych usiłowań, a jednocześnie, zostając bogatym zapewnił synowi czas swobodny dla zajęcia się umysłowego. Tak na świecie wszystko się z sobą wiąże, wspiera się nawzajem, tworzy kontrasty a razem harmonią, tworzy tysiączne odbłaski rozmaite a zgodne, jak w obrazie kolorowanym ręką biegłą i uczoną.

Czy na tém zależy cała rola bogacza? Syn zubożony pracą ojca ma nie tylko piękne książki i piękne obrazy, ale pałac przyozdobiony kosztownymi materyami, stoły zastawione obficie, żartkie rumaki, powozy wytworne. Powiedźcie nam, filozofowie zazdrości, czy potrzebne są te wszystkie rzeczy w społeczeństwie? Czy jesteście kwakrami, którzy nienawidzą wszystko co się świeci, lubią tylko kolor biały i czarny, może szary jako jedyną pozwołoną rozmaitość? albo też czy dopuszczacie że w płodach całego społeczeństwa potrzebna jest przy obfitości rozmaitość, delikatność, wytworność, piękność nareszcie?

Jakiegokolwiek są wasze skłonności osobiste, które podejrzewam że nie są kwakrowskimi, pozwólcie przedstawić sobie prawo wszelkiej produkcji. Jeżeli się nie produkuje czyli nie wyrabia wiele, wyrabia się źle i drogo, a jeżeli wyrabia się wiele, wyroby koniecznie będą mniej i więc

dobrze, skutkiem nierówności władz ludzkich, przyczyny zawsze działające. W ogólności ludzie zaczynają wyrabiać źle, potem miernie, żeby wyrabiać w końcu dobrze, bardzo dobrze, potem jeszcze lepiej; i gdy tym sposobem postępują coraz dalej, zachowują jednak zawsze nieodzowny przedział pomiędzy wyrobem niskim a wyrobem średnim, pomiędzy wyrobem średnim a wyrobem wyższym. Albo nie potrzeba postępu, albo muszą być te trzy stopnie. Albo potrzeba doliny Tempe, zamieszkałej przez pasterzy, co pożywają mięsiwo trzód swoich, przędą wełnę, pasterzy których poeci nazywają niewinnymi, a ja zaś powiadam że mam ich za wielkich gburów, częstokroć wylanych na bezecne występki, mających swoich Kainów jeżeli mają Ablów, i swoich ubogich ohydniejszych sto razy od żebraków Londyńskich i Paryskich, bo to są kretyni co noszą na szyi znamiona uposłedzenia fizycznego, a na ogłupiałych rysach twarzy znaki moralnego uposłedzenia: albo potrzeba, powiadam, doliny Tempe, albo potrzeba, przeciwnie, społeczności będącej w ruchu bezustannym, i w której są, powtarzam, trzy terminy nieodzowne: wyrób niższy, wyrób średni, wyrób wyższy. Jeżeli ta społeczność pragnie postępu, musi przechodzić od jednego do drugiego terminu. Jeżeli chce taniości? niezbędnie także potrzeba żeby trzy ter-

mina się skombinowały, iżby taniość wynikała z przeniesienia kosztów pierwszego terminu na drugi, drugiego na trzeci.

Czy rzecz idzie na przykład o produkcję rolniczą? Pszenica, żyto, kartofle, następując po sobie na gruncie żeby żadnej jego części nie pozostać bezpłodną, użyczają sobie wzajemnej pomocy. Wysoka cena pszenicy pozwala rolnikowi taniej sprzedawać żyto; średnia cena żyta pozwala sprzedawać jeszcze taniej kartofle.

Czy idzie o produkcję rękodzielniczą, też sama wzajemność pomocy. Przed pięciudziesiąt laty, kiedy zaprowadzono przędzenie bawełny we Francji, wyrabiano zrazu źle i drogo, potem trochę mniej źle i mniej drogo, nareszcie bardzo dobrze i tanio. Dzisiaj postępują coraz dalej przędąc coraz cieniiej przędzę cienką, średnią, grubą, i codzień taniej je oddają, z powodu przenoszenia kosztów odbywającego się z jednych gatunków na drugie.

Toż mamy zjawisko z wytwornemi tkaninami wełny, których dawniej szukano w dolinach Tybetu, które przed pół-wiekiem pokazywały się tylko na ramionach kobiety zamożnej, a dzisiaj zeszły na ramiona kobiety dość tylko dostatniej, i pozwoliły tkaninom z merynosów okrywać skromną żonę rzemieślnika.

Gdyby nie wyrabiano pięknych tkanin kaszmi-

rowych, nie możnaby wyrabiać za niską cenę tkanin merynosowych, w które żona rzemieślnika stroi się w dni świąteczne.

Piękne i rączę konie czystej krwi, na których marnotrawny syn bogacza pędzi cwałem po aleach parku, wynagradzają rolnika że wyhodował konia mniej wykwiutnego którego dosiada waleczna nasza jazda, albo konia ciężkiego co ciągnie plug.

Ale te produkta, wyszukansze, delikatniejsze, rzadsze, któż je opłaci, jeżeli nie będzie nagromadzenia majątku w kilku szczęśliwych rękach, które praca terazniejsza i przeszła zbogaciły? Bogactwo, mierność, ubóstwo tym sposobem pomagają sobie, i płacą mniej drogo, ponieważ opłacają razem rozmaite stany przemysłu ludzkiego.

Bez wątpienia byłoby lepiej żeby była czysta pszenica dla każdej gęby dożywienia, kaszmir dla każdej kobiety do ubrania, piękny rumak arabski dla każdego jeźdźcy pod siodło! Ach! czemuż nie od nas zawisło żywić lepszym pokarmem, odziewać piękniejszymi tkaninami, mieścić w zdrowszych pomieszkaniach ten lud, który kochamy daleko więcej niżeli ci co mu pochlebiają, którego prosty i zdrowy rozum ceniamy, skoro go nie zepsuto! Ale czyliż to jest w mocy nauki starożytniej i nowożytniej?

Bóg, Bóg sam chciał żeby człowiek zaczął na tej ziemi od żołędzi, aby dokładając ciężkiej pracy skończył na chlebie psennym, i zdaje się nam, że jeżeli chciał dobry byt uczynić nagrodą pracy, a życie próbą, należy ukorzyć się przed wielkością takiego zamiaru.

Te pokarmy wybrane, ta piękna i zdrowa odzież których zazdrościcie bogaczowi, ubogi kiedyś mieć je będzie; tak, mieć będzie byleby społeczność długo jeszcze pracowała. Próżna obietnica! powiedzą. Nie tak próżna, jeżeli sądzić zechcemy według przeszłości. Przed trzema lub czterema wiekami, królowie, w wieżach swoich, słomę mieli podesłaną pod nogi. Dzisiaj, prosty kupiec, wewnątrz pomieszkania, ma kobierce wełniane ubarwione kwiatami. Żeby do tego przyszło, społeczność wieki pracowała. Niech jeszcze pracuje, i co dziś służy tylko bogaczowi stanie się udziałem ubogiego. Ale kiedy społeczność przyjdzie do tego stopnia, wtenczas tkanina cienka będzie cieńszą jeszcze, i zawsze potrzeba będzie bogactwa, dostatku, mierności (która spodziewam się nie będzie już ubóstwem) dla odpowiedzenia trzem stanom wszelkiego przemysłu ludzkiego, żeby opłacić produkt wyższy, średni i niższy, bo przemysł postępujący podobny jest do kolumny w marszu: zawsze ma czoło, środek, tył.

Patrzcie co się dzieje pośród wielkich wstrząśnień politycznych i socyalnych. Groźniejsze dla bogacza niżeli dla ubogiego, zatrważają pierwsze, oddalają go od wszelkich uciech zbytku, i w jednej chwili cała pomysłowość zatrzymuje się. Krzyczą, unoszą się przeciw bogaczowi, chcą go uciążliwować podatkami; uderzają we wszystko co podobne jemu w wysokich urzędnikach krajowych, zmniejszają wszystkie płace, a nędza wzmaga się w miarę jak spożywanie przedmiotów zbytkowych zupełniej się przerywa. Wówczas krzyczą że wspierać trzeba przemysł, wyszukują do tego środków, i wydatkują w zasiłkach udzielonych tej lub owej rękodzielni, w premiach za wywóz z których zagraniczni tylko korzystają, dwa, trzy razy więcej niżeli zyskano z podatków nietrafnie nałożonych, lub oszczędności źle zrozumianych. Muszą więc znowu odrabiać, źle, niezupełnie, co należało pozostawić nietkniętém, i podobni są do dzieci, które pociągnięte skłonnością do niszczenia, wyrwawszy z gruntu roślinę chcą odsadzić ją po czasie, lub zabiwszy nieszkodliwe zwierzę, chcieliby przywrócić je do życia.

Nie wszystkie jeszcze wymienilem działania bogactw w społeczeństwie. Mają one inną rolę niżeli kupowanie wyrobów wyrafinowanych, których produkeya i konsumpcya są niezbędne; one jedne tylko mogą dostarczyć kapitałów geniuszo-

wi wynalazczemu, geniuszowi śmialemu, zuchwałemu, narażonemu na częste pomyłki, i na zrujnowanie spółników co go wspierają pieniędzmi. Owóż na przykład, nowy wynalazek co ma zmienić postać świata: wynalazca go rozewa, i podaje za to czém jest rzeczywiście, to jest za cudo. Ale wielu innych mówiło tóż samo o wynalazkach najśmieszniejszych. Trzeba próbować, ryzykować wielkie kapitały, i ażeby ryzykować, być w możności poniesienia straty. Ubogi, dostatni nawet człowiek, mogą się na to ważyć? Ponęta zysku niekiedy ich kusi, i tracą na zuchwałych tego rodzaju przedsięwzięciach szczupły owoc swoich oszczędności. Zamiast zachęcać ich do tego, owszem, odstręczać wypada. Ale bogacz co ma daleko więcej niżeli mu potrzeba do życia, bogacz może stracić, a zatem może ryzykować, i, kiedy oddaje się rozrywkom społeczności eleganckiej, lub poruszeniom politycznym, lub roztargnieniom podróży, pozostawiając swe kapitały u bankiera mającego kredyt, powierza mu przewyżkę od swoich wydatków, która służy na nowe przedsięwzięcia. Traci lub zyskuje na tych przedsięwzięciach. Niewiele żałować go trzeba, jeżeli straci. Zbogaca się jeszcze więcej jeżeli zyska, i może zachęcić inny, śmielszy jeszcze geniusz.

Tak więc nierówność bogactw, która odpowiada już potrzebom przemysłu ludzkiego zawsze nieró-

wnego w płodach swoich, sama też tylko posiada możność być śmiałą jak geniusz. Pozostaje jej ostatnia rola, uzupełniająca jej udział na świecie, i tą razą, okrutna zazdrości, nie będziesz lubić ją bardzo, ale przynajmniej skazana będziesz na milczenie. Może być dobroczynną. O! bez wątpienia, bogacz, częstokroć próżniak, marnotrawca, — błądza który pokutuje wkrótce nędzą, pokutuje okrutnie, gdyż ubogi ma przynajmniej ręce, on zaś ich nie ma; ubogi nie ma wstydu, jego zaś wstyd pożera, — bogacz także ma niekiedy serce suche, obojętne na nieszczęście, i nie uchodzi mu to bezkarnie; bo oprócz tego że się pozbawia najśladźszych rozkoszy jakie są na ziemi, ściga go najsprawiedliwsza, najokrutniejsza nienawiść jaką natchnąć można ludzi, nienawiść ku bogaczowi łakomemu i nielitościwemu. Ale bywa też dobroczynnym niekiedy, i wówczas opuszcza pałace żeby nawiedzić chatkę ubogiego, narażając się na obrzydliwą nieczystość, choroby zaraźliwe, i skoro odkrył tę rozkosz nową, rozmiłowywa się w niej namiętnie, smakuje ją, i już oderwać się od niej nie może. Przypuśćmy równość wszystkich majątków, przypuśćmy zniesienie wszelkiego bogactwa i wszelkiej nędzy, nikt nie miałby środków do dawania, ale nikt podług was nie potrzebowałby żeby mudawano, co jest fałszem.

Przypuściwszy nawet że to prawda, zgładzilibyście najśłodsza, najmilsza, najpowabniejszą z cnót ludzkich! Biedny reformatorze, zepsułbyś dzieło Boga, chcąc je naprawić. Zostaw nam, proszę cię, zostaw nam serce ludzkie takim jakim Bóg je stworzył. Bez wątpienia, gdybyśmy umyślnie stworzyli ubogich na to żeby mieć przyjemność patrzenia na bogaczów dobroczynnych, słuszniebyście powiedzieli, że lepiej niech nie będzie ubogich, chociażbyśmy nie mieli bogaczów mogących wspierać. Lecz nie zapominajcie że ten bogacz nie przygotował o ubóstwo tych co są ubogimi: że gdyby nie został bogatym, to jest gdyby ojcowie jego pracą swoją nie przysporzyli bogactwa ogólnego, ubodzy byłiby jeszcze ubożsi: i że uwielbienia godna bogacza dobroczynność, by mogła okazać się wspałałą względem nieszczęścia, nie zaczęła od odebrania muczegoś, żeby potem była w możności dawać. W takim dążeniu bezustannem ku lepszemu stanowi, praca której się powiodło, przychodzi w pomoc pracy której się nie powiodło, i bogactwo, mogące mieć wszelkie wady, ale też mogące mieć wszelkie cnoty, wspiera ubóstwo. Idą, opierając się jedno o drugie, dostarczając sobie osłody wzajemnej i tworzą grupę sto razy bardziej rozrzuwającą, niżeli wasze ubóstwo obok drugiego ubóstwa, odmawia-

jące sobie wzajemnie ręki, i pozbawione dwóch wysokich uczuć, miłosierdzia i wdzięczności.

Jeszcze jedno postrzeżenie o tym przedmiocie, a już mówić wam nie będę o bogactwie. Nagromadzenia bogactw, tyle bijące w oczy, nie są ani tak pospolite, ani tak znaczne, jak sobie wyobrażają, i gdyby wzięła chętka do ich podziału, niewielkaby częśćka dostała dzielącym się. Zniszczonoby ponętę co skłania do pracy, środek do opłacenia wielkich plodów pracy, zgładzonoby słowem zamiary Boga, nie z bogaciwszy nikogo. W rzeczy samej, czyliż mniemacie że bogactwa są bardzo liczni i bardzo bogaci? Ani jedno, ani drugie. Nikt nie policzył majątków w społeczności; ale w kraju jak Francya, gdzie przypuszczają dwanaście milionów familij licząc po trzy osoby na każdą familie, wiadomo że są dwa miliony familij co zaledwie mają czém opędzić główne potrzeby, a częstokroć i tego nie mają; sześć milionów, którym wystarcza na opędzenie potrzeb, trzy miliony co mają dostatek, blisko miliona co stoją na granicy bogactwa, a najwięcej dwieście albo trzysta, co rzeczywiście są bogate. Przypuśćmy równy podział: nic nie zabiorą familiom co mają tylko na opędzenie potrzeb, wybaczą może i prostemu dostatкови, nawet poczynającemu bogactwu; lecz jeśli odebrali majątek trzemset, posiadającym prawdziwe bogactwo

nie opłaciliby ani połowy wydatków krajowych w ciągu jednego roku. Nie przybyłoby do dobrego bytu mass nie zgola, ilość tak mała, że drobnością swą żadnego nie ma znaczenia, a uchylonoby bodźca, który pobudzając do pracy, sprowadza polepszenie losu mass narodu.

Nagromadzenie bogactw, mające oczy blaskiem swoim, co blaskiem tym przykłada się ku podniesieniu zapалу do pracy, co posługuje do zakupywania najwykwintniejszych płodów przemysłu postępującego, niekiedy jak balsam dobroczynny rozlewa się na pracę mniej szczęśliwą; to nagromadzenie rozdzielone na masę nieby jej nie przysporzyło, i z niem upadłyby wszelkie pobudki, jakie zachęcając człowieka do pracy, sprowadziły lepszy stan rodu ludzkiego. Rzecz niezawodna, że dzisiaj lud mniej jest biedny niżeli przed kilku wiekami; że głód, na przykład, nie zabił już całych pokoleń; że lud, lepiej żywiony, lepiej odziany, lepsze mający pomieszkawie (choć nie tak dobre jakby życzyć należało), nie jest wystawiony na zaraźliwe choroby wynikające z nieczystości, z nędzy, jak na Wschodzie lub w wiekach średnich. Czemże się to stało? Oto przez zapal z jakim we wszystkich wiekach usiłowano bogacić się. Zniszczcie bogactwo, a praca ustanie wraz z bodźcem, co do niej zachęcał. Nie przydałoby się może tysiącznej cząstki do

obecną zamożności wszystkich, a zniszczyliście zasadę, która w ciągu lat pięciudziesiąt może ją podwoić lub potroić. Zabiliście, jak powiedziano, kurę co znosiła złote jaja.

Zgodźcie się przeto na te nagromadzenia bogactw w wyższych sferach społeczności, tych bogactw, które jak wody, przeznaczone na użyżnienie kuli ziemskiej, wprzód nim się rozleją na pola w postaci rzek lub strumieni, pozostają czas niejaki zawieszane w obszernych jeziorach na wierzchołku najwyższych gór.

Tak więc, człowiek rodząc się nie ma, ale ma władze rozmaite, potężne, których użycie przynieść może wszystko czego mu braknie. Niechaj więc ich używa. Ale skoro użył, rzecz oczywiście słuszną, żeby owoc jego pracy jemu przynosił korzyść, jemu a nie komu innemu, stał się jego własnością, wyłączną jego własnością. Jestto rzecz słuszną, i jest konieczną, bo człowiek nie pracowałby ale rabował, gdyby nie był pewny zebrania owocu swojej pracy; bliźni jego czyniłby to samo, i ci rabusie, rzucając się jedni na drugich, wkrótce nie mieliby czego innego rabować, chyba samą naturę. Światby pozostał w barbarzyństwie.

Bo w rzeczy samej, rzemiosła i sztuki, nawet najnie doskonalsze, wymagają przynajmniej na czas niejaki pewności posiadania. Ryba, którą żyje dzi-

ki rybolówca, pokazuje się tylko w pewnych epokach roku w miejscach gdzie ją poławiają. Bawół albo bóbr, któremi żyje dziki Amerykanin, mają także zwyczaje wędrowne, z których korzystać należy, i umieć dopatrzeć ich powrotu. Nareszcie, ziemia wydaje jedno tylko żniwo na które rok czekać trzeba. Cóż wynika z takich warunków natury rzeczy? Że trzeba aby człowiek mógł zgromadzić plony swego rybolóstwa, myślistwa, rolnictwa, i żeby nikt w tym przeciągu czasu nie mógł mu ich zabrać, bo inaczej nie zadalby sobie trudu do ich nagromadzenia. Robiłby to tylko co jest potrzebne do życia w tej samej chwili kiedyby mu głód dokuczył. Nie zaprzętałby się żadnym kunsztem, żyłby wiecznie tém co się da zebrać napędce i pochłonać w tej samej chwili w nietykalnym schronieniu jego żołądka, jakoto: żołędźmi, albo trochę ptastwa zabitego kamieniem z procy. Ale się wyrzecze wszelkiej sztuki wymagającej czasu, rozważgi, przygotowań, jeżeli nie będzie miał pewności zebrania jej płodów. Jest jedna nade wszystko, pierwsza ze wszystkich, rolnictwo, którego nazawsze zaniecha, jeżeli posiadanie ziemi zapewnionem mu nie będzie. Bo do tej ziemi płodów przywiązać się trzeba, przywiązać na całe życie, jeżeli kto chce żeby płodnością wypłaciła mu się za jego miłość. Trzeba na tej ziemi postawić

chatkę, opasać tę ziemię granicami, oddalić z niej zwierzęta szkodliwe, wypalić dzikie korzenie co ją pokrywają, zamienić je w popiół żyzny, odwrócić wody nieczyste gnijące na jej powierzchni żeby je zamienić w wodę przezroczystą i ożywną, zasiać drzewa coby chroniły od skwaru słonecznego albo od szkodliwych wiatrów, i które przez jedno lub dwa pokolenia rość będą; trzeba nareszcie żeby ojciec tu się urodził i tu umierał, po ojcu syn, po synu wnuki. Któż więc zada sobie tyle kłopotu, jeżeli pewność, że przywłaszczyciel nie przyjdzie zniszczyć dzieł jego pracy, lub nie niszcząc zagarnąć je dla siebie, nie obudzi, nie podtrzyma zapалу pierwszego, drugiego, trzeciego pokolenia? Ta pewność, czémże jest, jeżeli nie własnością przyjętą, zabezpieczoną przez siły społeczeństwa?

ROZDZIAŁ XII.

O PRAWDZIWEJ ZASADZIE PRAWA WŁASNOŚCI.

Że ze wszystkiego co poprzedziło wynika, że praca jest prawdziwą zasadą własności.

Cóż wynika z tych wszystkich wywodów, których wątek nigdzie nie zdaje się przerwany? Oto, jak sądzę:

Człowiek rzucony *nagi na ziemię nagą*, przechodzi od nędzy do obfitości przez wykonywanie władz potężnych, jakimi go Bóg obdarzył.

Władze te składają pierwszą własność nierozdzielną od niego; z ich wykonywania rodzi się druga własność, zależąca na dobrach doczesnych, mniej spojona z jego istotą, ale jeszcze szacowniejsza jeżeli to być może, gdyż pierwszą dało mu przyrodzenie, drugą zaś otrzymał ze swojej pracy,

i dlatego właśnie że mniej jest od osoby nierozdzielną, potrzebuje być uroczyscie zabezpieczoną przez społeczność, iżby człowiek, pewny posiadania owocu swoich trudów, pracował z zaufaniem i zapalem.

Ta własność nabyta, zabezpieczona przez społeczność, ma za konieczny skutek darowiznę i dziedzictwo, gdyż darowizna jest jednym z koniecznych sposobów jej używania, gdyż dziedzictwo z kolei wypływa z darowizny i natury, nie może być przeszkodzone żadnym środkiem, i uzupełnia systemat własności, tworząc dla pracy bodziec nieskończony w miejsce bodźca niedostatecznego i ograniczonego.

Z dziedzicznego przelewu wynikają nowe nierówności nabyte, które, łącząc się do nierówności naturalnych, wydają pewne nagromadzenia nazywane bogactwem. Nagromadzenia takie nie w sobie nie mają przeciwnego słuszości, ponieważ nie były nikomu odebrane, ponieważ przyczyniają się do możliwości ogólnej, służą na opłacenie najwznioślejszych plodów wszelkiego przemysłu wydoskonalonego, są środkiem do dobroczynności, a zrodzone z pracy, rozpraszając się i ginąc przez próżnowanie, przedstawiają człowieka wynagrodzonego lub ukaranego przez najnieomylniejszą ze sprawiedliwości, sprawiedliwość rezultatu.

Taka jest dokładna historia sposobu w jaki rzeczy odbywają się w społeczności, pod względem pracy i własności. Cóż tu widzimy? Że trzeba aby człowiek pracował, pracował bez miary, bez końca; że pracując nawet bez umiarkowania, według wszelkich władz swoich, czyni dobrze sobie i drugim, nabywa zamożności która obja się o wszystkich; że zatem własność osobista, tworząca dla niego cel, cel wprawdzie ograniczony, i własność przekazywana dziedzicznie, tworząca dla niego cel nieograniczony, są koniecznością społeczną.

Własność, którąśmy, zaczynając ten wątek wywodów, wykazali jako czyn albo fakt ogólny, jest więc czynem nie tylko ogólnym, ale prawnym i koniecznym.

Słuszność każe pozostawić człowiekowi owoc jego pracy; interes pożytku społecznego wymaga żeby ta praca była czynną, energiczną, nieograniczoną; z obu więc tych względów oczywiście należy zabezpieczyć człowiekowi jej plody, i społeczność równie jest uzasadniona do ogłoszenia własności za prawo, jak miała zasadę ogłosić za prawa rozmaite swobody, z których się składa swoboda człowieka.

Ponieważ społeczność cywilizowana uświęciła na piśmie prawo własności, które znalazła istnie-

jące w postaci zwyczaju w społeczności barbarzyńskiej, ponieważ uświęciła je w celu zapewnienia, zachęcenia, pobudzenia do pracy, powiedzieć można że praca jest źródłem, zasadą, podstawą prawa własności.

Ale jeżeli praca jest zasadą prawa własności, jest także jego miarą i granicą, co jasno i dobitnie okazuje się z następującego przykładu:

Wykarczowałem pole gdzie rosły tylko ciernie: ogrodziłem je, zasiałem, polewałem, okryłem budowlami, lub co na jedno wychodzi, nabyłem je dawszy w zamian inne przedmioty pochodzące z mojej pracy. Społeczność mi zapewnia, co? Powierzchnię, teatr prac moich około wykarczowania, ogrodzenia, zasiewu, polewania, budowli: zapewnia mi powierzchnię i nie więcej. Oddaje mi ją, bo inaczej uczynić nie może. Bo w rzeczy samej, jak mogłaby mi zapewnić owoc moich trudów, gdyby mi nie zapewniła spokojnego posiadania tej powierzchni, gdzie płyną te wody, na której spoczywają te mury, dokoła której wiją się i rosną korzenie owych drzew? Nie może uczynić inaczej, nie może pozwalać komu innemu zasiewać na mojem zbożu, sadzić drzewo obok moich drzew. Lecz praca moja nie rozciąga się za lemię mego pluga, za korzenie moich drzew, za linę którą wyciągam wodę z mojej studni, i własność też

moja ustaje tam gdzie zatrzymuje się moja praca. Wszelako, poniżej tej powierzchni której posiadanie mi zabezpieczono, są głębokości pełne jednego kruszcu, żelaza, co służy do wszelkich robot ciężkich; innego kruszcu, srebra, co służy do wszelakich zamian; minerału, węgla kamiennego, co służy dzisiaj do wydawania siły. Głęb', mogąc stać się teatrem nowej pracy, staje się zarazem teatrem nowej własności; i pod powierzchnią która należy do rolnika, tworzy się inna posiadłość należąca do górnika. Społeczność przepisuje prawidła dla zapewnienia bezpieczeństwa i dogodności obojga. Ale obok jednego właściciela mieści drugiego, i ziemia zamiast być teatrem przywłaszczenia, staje się tym sposobem teatrem podwójnej pracy: jednej, na powierzchni, drugiej, w najgłębszych ziemi wnętrzościach. Tym sposobem, żadna część tego świata nie daje się człowiekowi ktoby nie pracował nad nią; jednemu wierzch, drugiemu spód; każdemu za pracę, z przyczyny pracy, w miarę pracy.

Powiedzieć można dogmatycznie (gdyż można być dogmatycznym, po udowodnieniu): Niezachwianą niczem zasadą prawa własności, jest praca.

Zgoda, powiedzą mi, kiedy praca jest prawdziwym początkiem własności; nie ganimy tego

co jest, co istnieje na świecie. Ta zasada jest tak naturalną, tak prawną, że nie masz jej nie do zarzucenia, i że wszelkie dowodzenie staje się zbytecznem.

Ale czyliż praca jest zawsze tą zasadą? Czyliż nie widzimy co dzień, pod względem majątków ruchomych, ogromne kapitały natłoczone w pewne ręce przez podstęp, grę, spekulacye najszańsze lub najwystępniejsze? Czyliż nie widzimy pod względem własności nieruchomości, większą część dóbr ziemskich w ręku ludzi, którzy źle nabytym groszem kupili je od syna, co odziedziczył one po oju, feudalnym panie, zbogaconym przez gwałty i zdzierstwa? Przypatrzwszy się dobrze, znajdziemy że podstęp albo gwałt dały pierwszy początek własności częściej daleko niżeli praca; i na granicy każdego pola, zamiast stawić posąg bożka Termina, tyle szanowanego od Rzymian, czyliż nie wypadaloby umieścić bożka Merkurego z kaduceuszem i skrzydłami, używanemi do oszustwa i ucieczki?

Ale, dodają, przypuszczając że początek własności jest tak szacownym jak twierdzisz, czyliż nie ma ważnych niedogodności, połączonych ze wzrastającym jej rozszerzeniem się? Pozwalając jej rozszerzać się do wszelkich rzeczy, ziemi, kapitałów, narzędzi, machin, materyałów surowych, pieniędzy, czyliż nie przychodzi do tego że świat

jest placem zajęтым, gdzie już nie ma miejsca dla nikogo; teatrem, jak mówił Cycero, gdzie wszystkie siedzenia zawczasu są zamówione? I gdyby ten teatr był tylko miejscem rozrywki, zgodzilibyśmy się może, chociaż rozrywka jest także prawem wszystkich; ale teatrem tym jest życie. Robotnik, choć chce pracować, nie znajduje z czego żyć, bo ziemia, kapitały, wszystko należy do szczupłej liczby nieubłaganych posiadaczy, którzy nieinaczej udzielają narzędzi pracy tylko pod warunkami, przy których człowiek pracujący żyć nie zdoła.

I tak, na dwa zarzuty filozofów dzisiejszych:

Iż rzeczywisty początek własności kłamstwo zadaje początkowi teoretycznemu;

Iż zabór ziemi i kapitałów rozszerza się bez ustanku na korzyść niektórych ze szkodą wszystkich;

Na te zarzuty odpowiem w dwóch następujących rozdziałach. Spodziewam się że te marne obłoczki rozproszą się przed obliczem prawdy, podobnie jak lekka mgła przed słońcem w czasie lata.

ROZDZIAŁ XIII.

O PRZEDAWNNIENIU.

Że jeżeli podstęp i gwałt są niekiedy początkiem własności, przechodzenie jej w ciągu pewnej lat liczby, na zasadzie praw porządkowych, nadaje jej charakter szacowny i święty własności opartej na pracy.

Obok ludzi co nabywają majątek pracą są niektóre osoby przywłaszczające sobie dobra podstępem i gwałtem, i zarzut ten miałby być tytułem przeciwko wszystkim, przeciwko tym co pracowali, równie jak przeciwko tym co nie pracowali! Wniosek taki utrzymać się nie może. Cóż począć w takim przypadku? Stanowić prawa lepsze, surowsze, dokładniejsze, dla rozróżnienia pomiędzy tymi, których posiadanie sięga pracy, a tymi których posiadanie bierze początek z przywłaszczenia. Czyliż więc należałoby zrzec się uświęcenia własności, jej obrony, zabezpieczenia, ponieważ wystawiona

jest niekiedy na gwałty? Zdarza się że nastają na życie człowieka, że go przyprowadzają o śmierć; czyliżby przeto należało pozwolić morderstwa, że niezawsze przeszkodzić mu można? Bez wątpienia, w bogactwach tego lub owego, w jego zamkach lub dobrach ukrywa się może dawna nieprawość, widoczna lub tylko domniemana, jak śród uśmiechających się niw Włoch lub Hiszpanii wznosi się tu i owdzie krzyż, który mieszkańcy postawili na pamiątkę i zagładzenie okropnego morderstwa. Smutna to rzecz zapewne, i zasługuje na energiczną karę: czyliż to wszakże powód dostateczny żebym w tych pięknych niwach i w ludziach co je uprawiają widział tylko rozbójników, i żebym w Gwadalkiwirze, Wolturnie, co płyną z takim wdziękiem, widział jedynie potoki krwi?

Mówicie o tej jaskini gry co ją nazywają Giełdą, gdzie się tworzą i giną tak szybko, inaczej niżeli przez pracę, olbrzymie majątki. Trafia się to niekiedy, ale ci co się tam pokazują tylko aby zniknąć, rzadko z sobą wynoszą skarby. Co zyskali jednego dnia trafunkiem, tracą podobnie; i tych ludzi, którzy z papierów publicznych nie czynią handlu rzetelnego i prawego, pracy całego życia: fortuna, okrutna w swoich dziwactwach, podnosi na chwilę, żeby potem strącić z wysokości na której ich postawiła zdradzieckimi rękami.

Jedyném pytaniem jest czy w tém miejscu osławioném może być prowadzony handel prawy, któremu społeczność pozwala poświęcać trudy i czas. Ale możnaż istotną mieć w tym względzie wątpliwość? Czyliż rząd nie musi zaciągać pożyczki kiedy kres podatków jest osiągnięty? Czyliż nie trzeba żeby pożyczką zrzucił na przyszłość ciężary, które korzyść przyniosą w przyszłości, a których teraźniejszość ponieść nie może? Czyliż nie trzeba żeby ogromne przedsięwzięcia, mające zmienić postać ziemi, wymagające niezmiernych kapitałów, dzieliły się na drobne części zwane *akcyami*, i były przystępne dla wszystkich kapitalistów? Czyliż nie jest rzeczą konieczną żeby spekulanci, wypatrując nieskończone zmiany tych papierów, zbiegali się kupować kiedy spadają, i tym sposobem podnosili je z dyskredytu? Te zmiany, powiększając się w czasach trudnych, dają powód do gry; podobnie jak zboże, rzecz tak szacowna, staje się w czasie głodu przedmiotem szalonych spekulacyj. Czyliż dla tej przyczyny zakazacie handlu zbożem? Czyliż nie rozróżnicie człowieka co prowadzi handel prawdziwy, pożyteczny, ciągły, od tego co się puszcza na grę przemijającą? Czyliż nie rozróżnicie wielkiego bankiera co się przykładą do ustalenia kredytu krajowego, od pospolitego spekulanta, który z rąk trafu wygląda bogactwa

kilkodniowego? Czyliż nie dzieje się podobnie we wszystkich rodzajach przemysłu i handlu? Co powiecie o tej massie bogactw ruchomych, które nabywają się tkaniem lnu, wełny, bawełny, jedwabiu, wyrabianiem machin, wysyłaniem okrętów na morza, szukaniem na drugiej półkuli płodów co się sprzedawać będą na naszą? Czyliż przeszkodzicie żeby przezorny kupiec nie obliczył ile obfitość zbiorów w Indjach lub Ameryce, ile wojna tego narodu z owym sprawić mogą zmian w cenach w Europie, i nie zyskał lub nie stracił znacznych summ na tej rachubie opartej na cukrze, wełnie lub jedwabiu? Jestto jeden z nieuchronnych warunków handlu, i opinia publiczna, przypatrując się codziennie człowiekowi tak działającemu, udziela mu lub odbiera te szacowne siły, które z czasem są prawdziwą przyczyną bogactw więcej niżeli szczęście, a które nazywają się: szacunek, poważanie, kredyt.

Mówią o ziemi, o przywłaszczeniach za pomocą których przeszła kolejno w ręce tych co ją posiadają. Prawda że w początkach każdej społeczności udział gwałtu większy jest niżeli udział sprawiedliwości. Wtedy mniej jeszcze rozwinęło się u ludzi uczucie tego co jest sprawiedliwe i niesprawiedliwe; rzucają się na ziemię, zabierają, wydzierają ją sobie gwałtownie, i do czasu zaprowadzenia praw mądrych i słuszych przeka-

zuja mniej lub więcej porządknie, to co nabyli w sposób bardzo nieporządkny. Z upływem czasu, przy postępie obyczajów i światła, prawodawstwo wydoskonala się, własność oczyszcza się będąc przekazywaną prawnie i porządknie. Czy któremukolwiek sofiście starożytnego Rzymu, za czasu rzeczypospolitej lub imperium, z powodu rozpraw nad prawem o podziale gruntów, przychodziło kiedy na myśl zaprzeczać, że ziemia rzymska prawnie należy do jej posiadaczy, ponieważ w początkach towarzysze Romulusa zyskali ją przez rozboje prawdziwe lub bajeczne? Któż wie ilu niecnym postępkiem była teatrem ziemia, której nabyłeś w najprawniejszy sposób? Czy masz odpowiadać za to, co robili przed kilku wiekami posiadacze własności którą otrzymałeś należycie od jej posiadacza, zapłaciwszy mu tyle ile żądał? Nie przeczą zapewne prawa zamiany, gdyż ci co zaprzeczają własność, co chcą wytępić brzęczącą monetę, przypuszczają bezpośrednią zamianę jednego przedmiotu na drugi. Wyhodowałem barany, ty uprawiałeś rolę, ja ci daję barana za pewną miarę zboża: nie słusniejszego, jak mi się zdaje. Zarobiłem w handlu summę kapitałów ruchomych, daję ci ją w zamian za ziemię: ziemia ta bez wątpienia jest moją, po podobnym układzie. Owoż w ciągu lat pięciudziesiąt, cała ziemia obszernego kraju przechodzi tym sposobem z jednych rąk w dru-

gie. Dość zatem pięćdziesiąt lat zamiany, pod mądrém prawodawstwem, żeby wszystka własność kraju, chociażby wzięta początek z najokropniejszych rozbojów, oczyściła się i upравиła, będąc przekazywaną na słusznych warunkach.

Tak, dodają, ale ten co ją przekazał, czy mógł przekazać jeżeli nie był prawym posiadaczem? Przywłaszczył, przekazał rzecz przywłaszczoną, i nie więcej.

Odpowiedź na ten zarzut mieści się w zdrowym rozsądku narodów, które wszystkie przyjęły przedawnienie. Uznały powszechnie, że skoro przedmiot jaki znajdował się, bez sporu, podczas pewnej liczby lat, w ręku jakiej osoby, tedy w końcu musiał stać się jej własnością. Jeżeli zachodzi spór albo skarga w pewnych epokach ze strony prawego posiadacza (co prawnicy nazywają przerwaniem przedawnienia), społeczność nadstawia ucha, słucha skargi i wyrok wydaje. Ale jeżeli przez trzydziści lat trwało milezenie, społeczność, dla przyczyn równie gruntownych jak te co ją skłoniły do uznania samegoż prawa własności postanowiła, że przedmiot posiadany staje się ostatecznie własnością posiadającego. Tak uczyniła, ponieważ długie posiadanie domyślać się każe pracy; bo nie nie byłoby stałego, gdyby nie był kres położony szperaniom w przeszłości; ponieważ wszelka umowa byłaby

niepodobną, żadna zamiana miejscaby mieć nie mogła, gdyby nie było pewności, że po upływie czasu oznaczonego, ten co trzyma przedmiot, trzyma go sprawiedliwie, i odstąpić go może. Wystawcie sobie jaki byłby stan społeczności, jaki nabytek byłby pewnym, atém samém podobnym, gdyby można było wracać do dwunastego i trzynastego wieku, i wytoczyć ei spór o ziemię, dowodząc że pan odebrał ją wassalowi, darował ulubieńcowi lub towarzyszowi broni, ten sprzedał ją człowiekowi zgromadzenia kupieckiego, który znowu przekazał ją dalszemu szeregowi kto wie jakich posiadaczów mniej lub więcej szanownych! Potrzeba koniecznie żeby był kres stały, kiedyby to co jest, dlatego że jest, ogłoszone było za prawne i uważane za dobre, bo inaczej, zobaczmy jakiby rozpoczął się proces na całej powierzchni kuli ziemskiej.

We Włoszech, na przykład, Włosi rzekliby posiadaczom ziemi: Wy pochodzicie, jak nam się zdaje, od baronów niemieckich, prawie wszystkich Gibelinów, wynagrodzonych dobrami zabranemi Gwelfom. A wy sami, powiedzianoby Gwelfom, byliście zapewne żołnierzami Karola Wielkiego, wynagrodzeni dobrami Longobardów, które ci zabrali Rzymianom, Rzymianie zaś rozdzielili je pomiędzy osadników wojskowych, odebrawszy owym wychodźcom których żale Wirgiliusz opisał w spo-

sób tak rozrzewniający. Kto wie w rzeczy saméjczy jedna z ziem, o które Kroaci toczą dzisiaj spór z panami medyolańskimi, nie należała do biednego Melibeusza, który prowadząc trzodę swoją na wygnanie, zazdrości Tytrowi słodkiej spokojności i błogich wezasów?

A my Francuzi, cóżby nam powiedzieć nie mogli o początku ziem, jakie posiadamy! Wydarte przez Rzymian Gallom, którzy sami byli w mocnym podejrzeniu że trzymają cudze dobro, użyte niejednokrotnie przez Cezara na przekupienie zbrodniarzy rzymskich, odebrane Rzymianom przez barbarzyńców, wydane pod barbarzyńcami; w ciągu kilku wieków, na wszelkie bezprawia rządu feudalnego, przeznaczone starszym synom z wyłączeniem młodszych, dawane, odbierane panom feudalnym, którzy wiedli o nie krwawe boje i wydzielali sobie podstępem dobra częstokroć nabyte gwałtem, miały nareszcie pod prawodawstwem porządniejszym naszych królów stać się posiadłością trochę już zacniejszą, gdy wtém nadeszła rewolucya francuzka, która wstrząsając nanowo osoby i rzeczy, tnąc głowy synom owych panów feudalnych, konfiskując ich majątki za to że uciekali od rusztowania, zabierając duchowieństwu przepyszne dobra jakie ono pochwyciło u umierających dręczonych zgryzotą sumienia, oddała wszystko pierwszemu

lepszemu, za jaką cenę? za papier tak dalece spoldony, że to co służyło na zapłatę ziemi nie wystarczyłoby na wyżywienie przez kilka dni jednéj rodziny. Czyliż po takich wspomnieniach jest choć jeden właściciel we Francyi, coby mógł umrzeć w pokoju?

Cóż powiedzieć o Hiszpanach, którzy tak źle uprawiają grunta zabrane Arabom, które Arabowie zabrali Gotom, Gotowie Rzymianom, Rzymianie starożytnym Iberyjczykom? Co powiedzieć o Turkach, którzy zabrali ziemię Grekom, którzy znówu zabrali niewiadomo komu piękne brzegi Bosforu! A samaż Ameryka, jaki o nią sąd wydać? Tutaj praca, wnosząc z pozoru, byłaby istotnie początkiem własności, gdyż przybysze Europejsey mając tylko ręce do pracy, trochę narzędzi rolniczych, i żywności na kilka miesięcy przywiezionej z sobą, uderzają na dziewicze lasy, gdzie mieszkają tylko małpy, papugi, węże. Ale i ci, ci także są przywłaszczyicielami, gdyż Amerykanie północni, co im przeznaczają te lasy dziewicze, odebrali je biednym Indianom, Nogom Czarnym lub Nogom Czerwonym, bez żadnej słusznej przyczyny, oprócz chętki jaka ich wzięła przed dwoma wiekami opuścić Anglię, z powodu sporów religijnych. Cóż myśleć, kiedy sama Ameryka jest tylko legowiskiem gwałtów i przywłaszczeń?

Odpowiedzmy poważnie na zarzuty jakkolwiek płocne. Żeby pracować, trzeba przedewszystkiem mieć w ręku materyał swojej pracy, to jest ziemię, materyał nieodzowny dla pracy rolniczej, z kąd wynika, że zajęcie być musi pierwszym czynem od którego zaczyna się własność, a praca drugim. Każda społeczność przedstawia w początkach tożsawisko zajęcia mniej lub więcej gwałtownego, po którym następuje powoli zjawisko porządnego przechodzenia własności za pomocą jej zamiany na prawy owoc jakiegokolwiek pracy.

Żeby tej zamianie nadać pewność i bezpieczeństwo, przypuszcza się, że wszelka własność co znajdowała się lat trzydzieści w jednych ręku, bez żadnej skargi, znajdowała się w tych ręku prawnie, albo uprawniona w nich została pracą. Ziemia tym sposobem ciągle przekazywana, pod prawodawstwem stałym, przedstawia własność prawną, ponieważ nie znajduje się w niezyciem ręku nie będąc zamieniona za odpowiednią wartość. Dosyćby jednego tylko przejścia żeby jej nadać charakter posiadłości najgodniejszej poszanowania, a z nader rzadkimi wyjątkami nie potrzeba stu lat żeby odmieniła po kilkakroć panów. Świat cywilizowany nie jest zatem ogromnym placem przywłaszczeń, i dodam na uspokojenie sumienia właścicieli francuzkich, że pomimo barbarzyństwa rządu feudalnego,

pomimo wstrząśnień rewolucyi 1789 roku, własność ziemska sięga we Francyi, i w największej części, najczystsze początki. Pola zabrane przez Rzymian Gallom były małego znaczenia, bo grunta były zaledwo uprawne, i podobne do lasów jakie Amerykanie oddają dzisiaj Europejczykom. Barbarzyńcy znaleźli kraj w stanie niewiele odmiennym. Dopiero w wiekach następnych i pod rządem feudalnym zaczęło się karczowanie gruntów, i ciągnęło się bez przerwy, co wskazuje wyraz francuzki *roture*, pochodzący od *ruptura*, nadawany wszelkiej własności biorącej początek od karczowania. Wszelka własność ziemska, tak zwana *roturière* (nieszlachecka), pochodziła zatem z pracy najzacieńszej, i takich było najwięcej, bo wiele ziem uszlachconych z czasem przez wzgląd na tego co je posiadał, były w początkach gruntami kmieciami (*terres roturières*). Później, pod długim szeregiem królów, wyborne prawa uporządkowały przechodzenie dóbr, i stan handlowy, jeżeli chciał nabyć dobra ziemskie, kupował je za brzęczącą monetę od właścicieli, szlachty lub kmieci.

Możemy więc, my Francuzi, jeżeli tylko je mamy, posiadać dobra nasze w zupełnej spokojności sumienia, chociażbyśmy nawet byli nabywcami dóbr narodowych, gdyż, koniec końcem, zapłacono za te dobra monetą, którą kraj sam dawał każde-

mu, którą każdy obowiązany był przyjmować od swoich dłużników; nareszcie, gdy niejaki skrupuły jeszcze pozostawały restauracyi, poświęciła 800 milionów na ich uspokojenie. Możemy więc spać w pokoju, i dzieci nasze po nas.

ROZDZIAŁ XIV.

O ZAGARNIENIU RZECZY PRZESZCZERZENIE SIĘ WŁASNOŚCI.

Że świat, zamiast być zagarniętym przez wzrastające rozszerzenie się własności, przeciwnie z każdym dniem staje się bardziej zastosowany do potrzeb człowieka, więcej przystępny dla jego pracy, i że własność cywilizuje świat, zamiast go przytłaczać.

Wszelka własność ma więc prawdziwy początek w pracy, a jeżeli zrazu takiego początku nie ma, nabywa go niedługo, po pewnym czasie przechodzenia regularnego. Zgadamy się na to, jeżeli chcecie, odpowiadają niektórzy przeciwnicy własności, ale niemniej ztąd wynika że z upływem wieków wszystko zostaje zagarniętym, ziemia, kapitały, narzędzia pracy, i że ci co naostatku przychodzą, nie wiedzą gdzie się podziać ani jak użyć swoich rąk. „Przychodzę na świat, powiada jeden z ekonomistów tegoczesnych, po kilku tysią-

each lat kolejnego przechodzenia własności, mniej lub więcej prawnego; znajduję go zagarniętym przez właścicieli ziem, albo przez właścicieli kapitałów. Jeżeli chcę być rolnikiem, wszędzie spotykam mury, rowy, co mię zatrzymują i ostrzegają że pole które życzyłbym uprawiać do kogo innego należy. Jeślibym chciał robić co innego, na przykład piłować lub heblować drzewo, prząszyć konopie, polerować żelazo, znajduję drzewo, konopie, żelazo, słowem kapitały w rękach chciwych, które mi ich nie dają, odmawiając kredytu wszelkiego, lub wymagając tak wielkiego procentu, że mi nie zostanie na życie po zaspokojeniu takiego procentu. I cóż uczynię? Czyliż świat cały, niebo, ziemia, woda, nie zagarnęli chciwi i zazdrośni posiadacze?”

Uwaga ta niewiele jest gruntowna jak poprzedni. Przychodzisz na świat trochę za późno, zgadzam się na to; wiele już miejsc jest zajętych, i, że użyję porównania Cyserona, który przyrównywa własność do teatru gdzie wszystkie siedzenia byłyby zajęte, dam ci następną odpowiedź: Właściciele tego teatru są ludzie zaiste bardzo nieużyteczni, że ci nie zachowali miejsca; ale czy byłbyś szczęśliwszy gdyby teatru wcale nie było? Teatr istnieje, wiem o tym, i wynika ząd dla ciebie przykrość nad którą ubolewam, miano-

wicie iż widzisz jak inni bawią się bez ciebie. Ale właściciele mogliby, powtarzam, nie zbudować teatru, na czémbyś wszakże sam niewiele zyskał; a jeżeli, co większa, gotowi są ciebie tam wpuścić, pod warunkiem pewnych usług z twojej strony, czy możesz obwiniać że są zbyt wymagającymi?

Zobaczysz że odpowiedź ta ściśle da zastosować się do własności.

Przychodzisz do społeczności bardzo ucywilizowanej, gdzie ziemia pokryta jest wprawdzie właścicielami, ale gdzie jest wybornie uprawiona, i wydaje sto razy więcej niżeli wydawała w początkach; gdzie maszyny, pomnożone i urozmaicone do nieskończoności, nadały pracy szybkość tysiąc razy większą, i owocom jej tysiąc razy większą obfitość i taniość; gdzie jest z czego wyżywić się, odziać się, dosyć na utrzymanie trzydziestu sześciu milionów ludzi zamiast czterech lub pięciu: wyznaj, że pokolenia co cię poprzedziły bardzo były występne względem ciebie, bo przed siedmią lub ośmią wiekami miałbyś za całe obuwie kawał skóry przewiązanej powrozem, a masz trzewiki co zabezpieczają nogi twoje od zimna, wilgoci i kamyków. Miałbyś za odzież skórę barania, a masz sukno. Mieszkałbyś w okropnych dziurach cuchnących i zapowietrzonych, których znajdujemy

jeszcze ślady w starych miastach Francji, a masz domy zdrowe i trwałe. Miałbyś żyto lub kukurudzę w czasach urodzaju, nie podczas głodu, a masz pszenicę i żyto w latach urodzajnych, kartofle w najgorszych. Piłbyś piwo albo jabłecznik a masz wino. Wyznaj, że te pokolenia mocno cię pokrzywdziły.

Ale, odpowiadają mi, jeżeli chcę uprawiać rolę, albo jeżeli chcę prząść, trzeba żebym pożyczył od kogo roli albo wrzeciona. Czyliżby inaczej było przed tysiącem lat? Czyliż także nie trzebaby było pożyczać roli albo wrzeciona? Czy był jaki czas kiedyby ludzie za nie użyczali rzeczy do nich należące? Nie masz zatem pomiędzy czasem terażniejszym a wiekami najodleglejszymi żadnej różnicy, wyjąwszy, że wracając wstecz cofasz się do epoki kiedy wszystkiego było mniej, i kiedy wszystkie rzeczy były nie tak dobrego gatunku. Nalegają wszakże i mówią: Nie rozstrzygasz kwestyi. Dwa, trzy wieki wstecz, nie tu nie znaczą. Zagarnięcie było może mniejsze, szeregi mniej ścieśnione, ale przywłaszczenie już się zaczęło. Cofnij się aż do tych dni, kiedy ziemia otwarta była dla pierwszego co na nią osiadł, i gdzie przyjść tylko trzeba było żeby znaleźć owoce zawieszane na drzewach, zwierzyne w lasach, rybę w rzekach, albo urodzajne pola do wykarczowania jeśli chciałeś oddać

się rolnictwu, jak się to dzieje obecnie w Ameryce. Dziki człowiek, dodają, używa prawa *polowania, rybołówstwa, zbioru owoców, używania pastwisk*, na całej powierzchni ziemi, a jeżeli człowiek cywilizowany zechce dzisiaj targnąć się na zwierzyne, skazują go na karę postanowioną na polujących ukradkiem; jeżeli chce rybę łowić, skazują go na karę pieniężną jako naruszającego prawo skarbowe; jeżeli chce zerwać winogrona przy drodze, wziąć snopek ze sterty, lub popaść barana na łące, skazują go na rozmaite kary, jako dopuszczającego się przewinienia względem przepisów wiejskich.

Zadam jedno pytanie tym, co się użalają na te rozmaite zakazy. Znajduje się pomiędzy nami kilka tysięcy nieszczęśliwych, którzy uwiedzeni opłakanymi zasadami przelali krew swoich spółobywateli, jedni złośliwie, inni, i to większa liczba, w zaślepieniu. Idzie o utworzenie dla nich gdziekolwiek, mniejsza o to gdzie, nowego bytu. Pytam bez żartu, gdyż nieszczęścia jakie ściągnęli na siebie, tudzież nieszczęścia jakich stali się przyczyną zabijając poczciwych ojców familii, nie dają powodu do śmiechu, pytam bez żartów, czy nie poczytywaliby tego za okrutne barbarzyństwo gdyby ich przewieziono do dziewiczych lasów Ameryki, lub na wyspy Oceanii, bez sposobów do osiedlenia

się tam, zamieszkania, utrzymania się, i czy szczęśliwy przywilej służący dzikiemu człowiekowi iż wszystko przywłaszczyć sobie może, nie byłby dla nich najsroższą niedolą? Mieliby słuszość, i Francya byłaby okrutną, gdyby w taki sposób względem nich postąpiła.

Ale, powiedzą, niemasz w tém nic nadzwyczajnego. Gdyby nieszczęśliwi, o których mowa, odebrali wychowanie dzikich z Oceanii lub Florydy, mogliby żyć jak oni z rybołostwa lub łowiectwa; ale że odebrali inne, zważać należy na różnicę. Cóż nazywają wychowaniem odmienném, na które zważać należy? Społeczność nauczyła ich jeść chleb pieczony zamiast dzikich korzonków, mięso białe i gotowane zamiast mięsa czarnego i surowego, okrywać się odzieżą tkaną zamiast skórą zwierząt lub piórami ptaków, używać pilnika, ryłca, zamiast łuku i strzały, to jest, społeczność na którą się użalacie utrzymywała ich, pomimo ich niedoli, w stanie sto razy lepszym od stanu dzikich, którego żałujecie dla nich, i do którego chcieć ich powrócić byłoby największém okrucieństwem.

Bez wątpienia, w téj społeczności skomplikowanej, gdzie zepsucie najdrobniejszej sprężyny głębokie sprawia zamieszanie, są przesilenia, podczas których wszystkiego razem zabraknie dla pewnych

klass, i przyjdź im w pomoc trzeba; — jesteśmy tego zdania, bo nie mamy serc kamiennych przeto iż mamy głowy zdrowe; — przyjdź im w pomoc trzeba, powiadam, nie z tytułu restytucyi, lecz z tytułu braterstwa, enoty arcypięknój, skoro jest szczera. Ale w końcu, społeczność pozbawiając ich obfitości pierwiastkowej niczego ich nie pozbawiła, gdyż taka obfitość istnieje jeszcze na trzech czwartych częściach kuli ziemskiej, i uważaliby za morderstwo gdyby przez nieludzkosć wystawić ich na nią chcieli.

To mniemane więc zagarnięcie świata całego jest śmieszném urojeniem. Na czémżeby ono zależało w rzeczy samej? Na przywłaszczeniu ruchomych przedmiotów, jakimi są: maszyny, narzędzia, materiał surowy, nasiona, żywność, pieniądze, wszystko nareszcie co się nazywa kapitałem, barbarzyńskim kapitałem, który nie chce udzielać się pracy inaczej, tylko za opłatą ogromnych procentów? Ale ten kapitał ruchomy nie istniał; ale te maszyny, narzędzia, budowle, materiał surowy, nasiona, pieniądze, to wszystko nie istniało przed pokoleniami przywłaszczycielskimi na które użalacie się, i istnieje tylko przez nie, przez ich pracę uporną i wytrwałą. Jeżeli te pokolenia kapitał swój zatrzymują, jeżeli każą zań płacić drogo, może wykraczają pod względem moralności, ale, pod wzglę-

dem ścisłego prawa, mają niejaka słuszość czynić z nim co się im podoba, ponieważ go utworzyły; i nakoniec, jeżeli potrzebujecie żeby go użyczyły, jeżeli zależycie od nich z tego względu, one także od was zależą, gdyż potrzebują żeby ręce wasze nadały wartość ich kapitałom, inaczej kapitały te bez użycia zostające nie miałyby żadnej wartości w ich ręku. Zależność jest wzajemna.

Dwojakie potrzeby stawają naprzeciw siebie: wasza, którą jest pracować; ich, którą jest znaleźć użytek dla swych kapitałów. Która z tych dwojga potrzeb przepisze prawo dla drugiej? To zależy od chwili. W czasie spokojnym, kiedy kapitałów obfitość, wy piszecie prawo. Kiedy zaś kapitały ukryją się i pochowają, ich potrzeba prawo przepisze, i będziecie musieli drożej płacić za pieniądze. Ale tymczasem czy wiecie jakie wam złe przyczyniły te przywłaszczyielskie pokolenia pomnażające kapitały? Oto sprawiły że pieniądz co był wart 12 albo 15 od 100, niekiedy 40 u Rzymian, 10 do 12 w wiekach średnich, 6 i 7 w XVIII-m wieku, wart dzisiaj 3 do 4 w spokojnym czasie, 5 do 6 w ciężkich czasach. Ponieważ zaś procent jest wyrażeniem dokładnym i jedynym trudności w otrzymaniu kapitałów, rzecz dowiedziona, że posuwając się codzień w takim przywłaszczeniu świata, pokolenia co was poprzedziły i utworzyły

masę istniejących własności, uczyniły łatwiejszym dla was przystęp do wszystkich rzeczy. Ale nawet na 5, 6, 7 od 100 nie pożyczą biednemu rzemieślnikowi nie mającemu kredytu! Zgadzam się, ubolewam nad tém, chętnie poparłbym dobrze obrachowane środki do zaradzenia temu; ale, przed kilku wiekami, byłoby mu jeszcze trudniej dostać pożyczkę.

Nie masz więc przywłaszczenia co do bogactw ruchomych, jakie nie istniały przed pokoleniami na które się użalają, i istniały jedynie przez nie. Czy inaczej rzecz ma się z ziemią, której te pokolenia nie utworzyły, którą znalazły leżącą pod słońcem, i na niej osiadły, co przykro dla ciebie, przybyłego na ostatku, bo znajdujesz najżyźniejsze pola zajętemi? Łatwo to przyjdzie objaśnić.

Ponieważ powierzchnia ziemi jedynym jest środkiem użycia czynników przyrodzonych, powietrza, wody, słońca, do produkcji płodów i żywności, zachodzi więc, powiadają, uciążliwe zajęcie tej powierzchni na korzyść niektórych a szkodę wszystkich. Powiem najprzód wynalazcom zarzutu: Doradźcież jakby inaczej wziąć się do dzieła, kiedy nie masz innego sposobu do uprawy ziemi jak osiąść na niej, usadowić się, okryć ją całowieczną pracą, zamknąć i zakazać każdemu obcemu do niej przystępu? Społeczność, jeżeli inaczej nie mo-

gła skłonić kolonistów do osiadania na gruncie, czyliż bardzo występna że im udzieliła podobne przyzwolenie? Wy, nowo przybyli, co uskarżacie się że zajęte wszystkie miejsca pod słońcem, jeśliby wam dali ziemię do karczowania bez pewności że ją zatrzymacie, czy przyjęlibyście ją pod takim warunkiem? Tysiące Niemców, Szwajcarów, Basków, co opuszczają ojczyznę każdego roku żeby się udać na brzegi Mississipi wydzierają nowiny, czy wyjechałoby tam gdyby nie mieli zostać nieodzownymi ich posiadaczami?

Cóż więc czynić, jeżeli nie można uprawiać ziemi bez zajęcia jej, zajęcia na wieczne czasy, ponieważ jej powierzchnia jest koniecznym siedliskiem prac, których powolne nagromadzenie stanowi prawie całą jej wartość? Cheesz na to przykładu? Idź do Hollandyi i spojrzysz na zielone i bujne łąki okryte pięknym bydłem: bardzo się pomylisz mniemając że natury dziełem ta ziemia tak świeża, tak bogata. Wetknij w ziemię kij, a o trzy lub cztery cale znajdziesz piasek jałowy. Tę bujną trawę co się zamienia w mleko, potem w sэр, i która pod tą postacią krąży po całym świecie, wydaje grunt całkiem sztucznego utworu. Za pomocą tamy ułożonej z gałęzi wierzbowych zagrodzono część piasku morskiego; z czasem muł nagromadzony przypływem i odpływem morza wzmocnił tę tamę. Ode-

brawszy piasek wodom morskim, uczynili go przystępnym tylko wodzie deszczowej albo rzecznej, i tym sposobem powoli oswobodzili go od soli. Trawa tu wyrosła, niebardzo zrazu pożywna i podobniejsza naturą do sitowia niżeli do roślin trawiastych. Puszczono na nią krowy, gromadził się użyźniający nawóz, i skończono wreszcie na utworzeniu sztucznego gruntu nadzwyczaj urodzajnego. Cóż rząd udzielił? częśćkę dna morskiego. Na tém dnie, przemysł prywatnych utworzył pokład roślinny i cały ten przepych zieloności, jaki was zachwyca. Czy lepiej było wydrzeć tę częśćkę przestrzeni morzu i przyszłym pokoleniom, czy raczej nie tworzyć bogatęj łąki? Znowu tu przypadek jak z teatrem u Cyclerona. Wszystkie miejsca zajęte w teatrze, na co odpowiadam: Czy lepiej żeby teatru nie było?

Cóżkolwiek bądź, konieczność, jak mi się zdaje, jest dobrą przyczyną. Jeżeli więc konieczność wymaga odstąpienia powierzchni ziemi tym co ją uprawiają żeby mieli dostateczną pobudkę do uprawy, czyliż nie wypada uleść niepokonanęj naturze rzeczy?

Byłby wprawdzie środek: można pozostawić samemu krajowi własność ziemi i oddawać ją tylko w dzierżawę, bądź na czas pewny, bądź dożywotnie, temu co uprawą się zajmie. Urządzenie po-

dobne znano w dawnéj Francyi, i ziemie takienazywano dobrami zmarléj ręki (*main-morte*). Czyliż powtórzę co powiedzieli wszysej ekonomicy ostatniego wieku: że systemat ten jest systematem barbarzyńskim, anti - rolniczym; że ziemia, żeby dobrze była uprawiana, powinna być własnością prywatną; że wtedy tylko człowiek poświęca jéj swoje trudy, swój czas, swoje życie, jeżeli jest zarazem rolnikiem i właścicielem; poświęca przynajmniej kapitały jeżeli jest tylko właścicielem; że dobra ziemskie dawnego duchowieństwa przynoszą dzisiaj, w samych podatkach, prawie tyle co czyniły niegdyś w dzierżawie, a nadto żywią właściciela i dzierżawcę, i przedstawiają widowisko czynności nadzwyczajnej, zamiast widowisk niedbalstwa i zasmucającej opieszałości? Ale przypuśćmy że to rozległe poddaństwo ogarnie całą własność we Francyi, los człowieka co się poświęcić zechce uprawie roli, czyliż będzie lepszy? sto razy będzie gorszy, bo ze swobodnego jakim jest dzisiaj zostałby niewolnikiem. Czy danoby mu ziemię darmo, bez opłaty dzierżawy? Jakże! ziemię wybornie zagospodarowaną, okrytą pracami kilku wieków, wartującą bez porównania więcej niżeli ziemia leżąca odłogiem, oddawanoby za tę samą cenę, to jest za nic? I na mocy jakiego pierwszeństwa dałiby jednemu piękne winnice na brzegach Girondy,

drugiemu jałowe piaski stepowe? czy dlatego na przykład, że będzie pierwszy zapisany, albo że lepiej usposobiony, albo żołnierz najwaleczniejszy? Co się tycze najprzód zapisanego, dość na to być tylko skwapliwszym. Co do lepszego usposobienia, zapewne urząd miejscowy, mer, zawyrokuje. Co się tycze żołnierza najwaleczniejszego, pensya zapisana w wielkiej księdze czyliż nie jest nagrodą łatwiej dającą się zastosować do stopnia, wieku, zasług? Wreszcie, dlaczego ma być jedna klasa której udziela bezpłatnie narzędzia do pracy, gdy tymczasem wszystkie inne będą musiały nabywać je za pieniądze? Czy dają stolarzowi, tkaczowi, kowalowi, warstacy przy których wykonywają swój przemysł? Nierówność byłaby nie do zniesienia, i gdyby kraj miał w ręku swoim taką wartość ile wynosi własność wszystkich dóbr ziemskich zagospodarowanych, oczywiście powinienby, żeby nie być niesprawiedliwym aż do niegodziwości, wynajmować je, jak czyni z wszystkimi dobrami które posiada. Ale w takim razie jakaż byłaby różnica między dzierżawcą trzymającym ziemię od kraju, a dzierżawcą trzymającym od osób prywatnych? Co za korzyść byłaby w zamianie jednéj z tych zawisłości na drugą? Co za korzyść? Zobaczymy.

W obecnej społeczności, urządzonej przez naturę nie zaś przez fałszywych uczonych, dzierżawca

przychodzi do właściciela i swobodnie z nim umawia się. Biorąc za zasadę wartość zboża ofiaruje cenę. Właściciel bierze za zasadę cenę dóbr nieruchomości i wymaga inną. Targują się, i wreszcie kończą na ugodzie takiej, że jeden może zyskać zapłatę swojej pracy, drugi procent od swego kapitału. Przeciwnie, gdy kraj będzie właścicielem, zobaczmy co ztąd wyniknie. Nie mając w swobodnej dzierżawie miary do ocenienia produkeyi ziemi, ustanowi z niej dochód jak się stanowią place, podług woli stronnictwa przemagającego. W jednej epoce powiedzą że niedosyć, w drugiej że za mało; wysokość dzierżawy przeto zmieniałaby się podobnie jak place urzędników, a ponieważ rzecz szłaby o przedmiot od którego zależy życie wszystkich, rzeczpospolita byłaby rozszarpaną. O cóż w rzeczy samej szło w Rzymie za czasu Grachów? Nie opowszechny podział majątków, ale najwięcej chyba o podział gruntów mniej lub więcej świeżo zawojowanych, trzymanych dzierżawą przez senatorów albo rycerzy, za cenę którą nazywano ceną łaski; lud żądał niezwłocznego podziału tych gruntów pomiędzy obywateli którzy je zawojowali służąc w wojsku. Rzym omal co nie zginął, a zginął późniżej dla tychże kwestyj, gdyż wszyscy burzyciele co nastali po Grachach, używali tegoż pozoru do wiarolomnych swych zamiarów. Czyliż nie do-

syć jest powodów do spierania się o władzę, i czyliż chcecie przydać najgorętszą, najgwałtowniejszą ze wszystkich przyczyn, to jest posiadanie ogółu gruntów całego kraju, za cenę raczej taką niżeli inną? Czyliby je wydzierżawiać darmo, czy wydzierżawiać za pieniądze, obywatele mordowaliby się pomiędzy sobą, w pierwszym przypadku żeby je otrzymać, w drugim żeby otrzymać za cenę odmienną, i jak w jednym tak w drugim razie sprawiedliwość nie służyłaby za prawidło. Byłby niemi kaprys stronnictw.

Wszystkie więc te wynalazki są tylko staremi błędami ludów, osądzone oddawna, i nazawsze potępione skoro je wypróbowano choć w części, raz jeden i na czas krótki. Kraj będący właścicielem gruntów i wydzierżawiający je osobom pojedynczym, jest instytucją znajomą, doświadczoną, której zalet mogły nawet dzieci nauczyć się z historyi rzymskiej, równie jak z historyi monarchij europejskich. Czas, rozum, nauczyły cały świat, że ziemia równie jak wszelkie kapitały powinna być własnością prywatną; że pod tym warunkiem okrywa się bez ustanku nowemi ulepszeniami; że sprzedawana, kupowana, wynajmowana podług woli, jak wszelkie rzeczy tego świata, sprzedaje się, kupuje, wynajmuje się podług swjej ceny prawdziwej, prawdziwej jak cena zboża, żelaza, odzieży, ponieważ

jest wypadkiem swobodnego równoważenia interesów pomiędzy tymi co produkują a tymi co spożywają; że rolnictwo jest więc professją swobodną, równie swobodną jak wszelkie inne professye, że dzierżawa nie jest posadą otrzymującą się w drodze łaski, utracającą się przez nienawiść władzy przemagającej, i że ubieganie się o władzę, już i tak zbyt ogniste, uwalnia się od bodźca równie gwałtownego jak głód, a który to spółubieganie się uczyniłoby bojem na śmierć.

Potrzeba zatem żeby powierzchnia ziemi oddawana była, na zupełną własność, temu kto ją karzuje; żeby otrzymawszy jej własność, mógł ją albo sprzedać, albo wynająć, i żeby ulegała losowi wszelkich narzędzi pracy ludzkiej, mogła być sprzedawana, kupowana, wynajmowana podług woli tych co ją posiadają lub chcą posiadać. Ale, powiadają, ziemia oddawana tym sposobem na wieczne czasy, powoli jest zabierana, zagarniana, i ci co przyjdą na końcu lękać się muszą, iż znajdą kiedyś całą ziemię zajętą. Niebezpieczeństwo wielkie w rzeczy samej, nagłace jak wiemy, gdyż ze wszech stron ziemia pokrywa się osadnikami niecierpliwymi ją zagarnąć. Obie Ameryki od północnego bieguna do południowego; Indye, od gór Himalaja do przylądka Comorin; Chiny, od wielkiego muru do kanału Formozy; Afryka od Atlasu do

przylądka Dobrzej Nadziei, Madagaskar, Australia, Nowa Zelandya, Nowa Gwinea, wyspy Moluckie, Celebes, Filipińskie, wszystkie wyspy świata będą wkrótce okryte rolnikami, co spadną niespodziewanie na kulę ziemską jak chmura szarańczy, a wnukowie nasi będą musieli założyć ręce na widok ziemi zagarnionej!

Podamy umysłom przestraszonym tak ważnem niebezpieczeństwem uwagi następujące:

Węgiel ziemny, naprzykład, źródło dzisiaj wszelkiej siły poruszającej, węgiel obudza cale inne i większe obawy. Niektórzy inżynierowie mniemali że na kuli ziemskiej będzie go na tysiąc lat, gdy tymczasem inni przeciwnie sądzili, że do opalu wystarczy najwięcej na lat sto. Czyliż trzeba by na przykład wstrzymać się od używania węgla, z obawy żeby go nie zabrakło dla naszych wnuków? Cóżbyście powiedzieli o ludzkości, coby nie chciała używać tych skarbnic ciepłoty i siły poruszającej, z bojaźni że wkrótce się wyczerpią? Ludzie wy potrzebowali prawie wszystkie drzewo naszych lasów, a widziecie że umieli wynaleźć środek do ogrzewania się. Społeczność któraby nie dopuszczała własności ziemskiej, z obawy żeby kiedyś cała powierzchnia ziemi nie została zagarnięta, byłaby równie dziwaczną. Uspokójmy się więc: narody Europy nie uprawiały jeszcze jednej czwar-

tęj części, drugiej dziesiątej części swoich gruntów, i tysiączna część kuli ziemskiej nie jest jeszcze zajęta. Dotychczas, wielkie narody znane, wszystkie skończyły się, uprawiając na rolę bardzo szczupłą tylko część swą ziemi. Przeżyły one młodość, wiek dojrzały, starość, miały czas stracić swój charakter, swego ducha, swoje instytucje, wszystko co daje życie, wprzód, nim nie mówię skończyły, ale nawet nim trochę posunęły uprawę swą ziemi. Ziemia była dla nich owocem, który ledwo zaniosły do ust i prawie natychmiast z rąk go upuściły. Skłaniam się do myślenia, że z całym rodem ludzkim tak będzie. Wierzę że wszystkie istoty koniec mieć muszą, wielkie czy małe, i planety podobnie jak inne, gdyż wierzę w jedność praw boskich. Ludzie rodzą się i umierają, narody rodzą się i umierają. Wszystko ulega temu prawu niezmiennemu, od istoty nieskończenie drobnej, której ciała rozróżnić nie możemy chyba za pomocą silnych narzędzi, której życie przemija jak jedno z naszych wrażeń najprzelotniejszych, aż do owych istot, których wzrost wydaje się nam olbrzymim, w porównaniu z małym naszym wzrostem. Bóg wszystkim im wymierza czas tak jak przestrzeń, i trwają w stosunku do swojej wielkości. Owoż i ciała niebieskie, potrwawszy tysiące razy dłużej niż indywiduala, niżeli same narody, skończyć się także kie-

dyś muszą, bądź, że ostygle, przemienią się w bryłę lodu na której życie będzie niepodobieństwem, bądź że kometa, Attila albo Tamerlan niebios, potrafi je i skruszy! Ach! ponieważ wzlecieliśmy do świata marzeń za śladem utopistów społecznych, pozwólcie sobie powiedzieć, wszyscy co z trwogą myślicie o dniu mniej lub więcej bliskim kiedy ziemia zagarniona nie dostarczy już miejsca nowemu rolnikowi, że ród ludzki postępując na planecie jak Grecy na Archipelagu, jak Rzymianie nad morzem Szródziemnym, ród ludzki skończy się, zlodowaciały lub skruszony, uprawiając ledwie najmniejszą część kuli ziemskiej. On także upuści owoc zaledwo go skosztowawszy.

Ostatnia na koniec uwaga mogąca was uspokoić, jest, iż rzeczywiście przestrzeń nie nie znaczy. Często na najrozleglejszej przestrzeni z trudnością ludziom wyżywić się przychodzi, często przeciwnie żyją w dostatku na najszczuplejszej części ziemi. Włoka gruntu w Anglii lub we Flandryi żywi sto razy więcej ludzi, niżeli morg pisków w Polsce albo Rosyi. Człowiek z sobą nosi urodzajność; gdziekolwiek się pokaże, trawa rośnie, ziarno puszcza kielki. Bo ma swoją osobę i swoje bydło, i wszędzie gdzie osiada udziela nawóz użyźniający. Idźcie w piaszczyste stepy Francyi albo Prus, skoro postrzeżecie miejsca przerzadzone

śródo lasu jodłowego, a na tych miejscach zboże, możecie być pewni że wkrótce zobaczycie dym, dachy, wieś. Jeżeli ta wieś znaczna, jeżeli obszernością zbliża się do miasteczka, otaczające pola lepiej są uprawne, żyzniejsze, lepsze wydają ziarno. Zmusicie człowieka żeby się zamknął na tej samej przestrzeni, co czyni dobrowolnie przez chęć nieoddalania się od miejsca gdzie zamieszkał, a znajdzie z czego żyć na tej samej przestrzeni ziemi, jakkolwiek się rozmnoży, jedynie dlatego że używając ją więcej swoją obecnością potrafi wydobyć z niej obfitsze plony.

Gdyby zatem przypuścić było można że kiedyś wszystkie części kuli ziemskiej będą zamieszkane, człowiek otrzyma z tej samej powierzchni dziesięć razy, sto razy, tysiąc razy więcej niżeli dzisiaj zbiera. Czegoż się więc obawiać, kiedy widzimy go tworzącego ziemię roślinną na piaskach Hollandyi? Gdyby mu zabrakło przestrzeni, piaski Sahary, pustynie Arabii, pustynia Kobi, pokryłyby się żyznością która idzie w ślad za nim. Urządziłby w terrassy boki gór Atlasu, Himalaya, Kordylierów, i zobaczylibyście uprawę roli podnoszącą się aż do najprzepaścistych szczytów kuli ziemskiej, i zatrzymującą się na tych tylko wierzchołkach gdzie wszelka wegetacya ustaje. A gdyby

nareszcie nowych siedzib zabrakło, żyć będzie na tej samej ziemi, pomnażając ciągle jej urodzajność.

Odrzućmy te troski dziecinne, i wróćmy do rzeczywistości przedmiotu jaki nas zaprzęta. Tej powierzchni kuli ziemskiej, jakoby zajętej, nie zabraknie pokoleniom przyszłym, a tymczasem nie brak jej pokoleniom terażniejszym, gdyż ze wszelkich stron ofiarują ziemię ludziom, ofiarują ją w Rosyi, na brzegach Dniepru, Donu i Wolgi; w Ameryce, na brzegach Mississipi, Orenoko, Amazonki; we Francyi na pobrzeżach Afryki, które żywiły niegdyś cesarstwo Rzymskie. Francya w rzeczy samej gotowa dawać ziemię zadarmo tym dzieciom obłąkanym, co jej krów przelały. Nawet za taką cenę wziąć jej nie zechcą, i wychodzą co ją przyjmują pod takim warunkiem, wkrótce zginać muszą, jeżeli nie dodanego nie będzie do takiego datku. Czemuzto? Dlatego że nie brak jest powierzchni, ale trzeba powierzchni okrytej budowłami, plantacyami, ogrodzeniami, robotami własność zapewniającymi. Tego zaś nie ma, chyba wówczas, kiedy pokolenia poprzedzające uprzedziły robotników nowo przybyłych, i wszystko przygotowały żeby praca niezwłocznie była płodną. Czyliż więc najściślejsza, najoczywistsza sprawiedliwość nie wkłada obowiązku płacić wynagrodzenie tym pokoleniom poprzedzającym, na które miotają tyle

wyrzekań, lub ich dzieciom, które te pokolenia przedstawiają?

Wszystkie te marne zarzuty znikają za pierwszym wejrzeniem rozsądku, za pierwszym objaśnieniem zdrowego rozumu.

Może byłby pozór zasady, przynajmniej pozór, w skargach przeciwko mniemanemu zagarnięciu rzeczy przez rozszerzenie się własności, gdyby, na przykład, udział rolnika co uprawia ziemię zmniejszał się z każdym dniem, w stosunku do udziału właściciela co ją posiada. Można by w takim razie przypuścić że nadejdzie czas, kiedy rolnik nie będzie miał już sposobu do życia; a ponieważ on wszędzie składa główną masę ludności, i że jego sztuka pierwszą jest ze sztuk wszystkich, można by twierdzić, że jeżeli kolejne zagarnięcie ziemi nie powinno wzniesać obawy o zajęcie w przyszłości całej kuli ziemskiej, wszelako każdy wiek upłyniony pogorsza położenie człowieka skromnego, cierpliwego i silnego, który uprawia grunt dla tych co go posiadają.

Szczęściem, właśnie przeciwnie rzeczy się mają, przez stopniowe zniżanie się procentu, wynikające z pomnażającej się obfitości rzeczy. Jak kapitały ruchome z każdym dniem stają się przystępniejszymi dla pracy (wszelako nietylko żeby oddawać się miały zadarmo), podobnie z ziemią odbywa się zu-

pełnie także samo zjawisko. Część dochodu przeznaczona dla rolnika powiększa się z każdym dniem, gdy tymczasem przeznaczona właścicielowi zmniejsza się, dla naturalnej przyczyny; ponieważ przyczyną wartości ziemi daleko mniej jest jej powierzchnia niżeli kapitały na tej powierzchni nagromadzone, przeto też cena wynajmu ziemi zmniejsza się w miarę jak same kapitały przynoszą mniejszy procent.

Zdawałoby się że im kraj bogatszy, im ziemia tam urodzajniejsza, lepiej uprawiana, tém większy powinna przynosić dochód. Nie tak przecie rzecz się ma. W okolicach Paryża, na przykład, albo w bogatych prowincjach Normandyi, Pikardyi, Flandryi, ziemia przynosi ledwie $2\frac{1}{2}$ od 100. W Anglii przynosi jeszcze mniej, podobnie jak wszelkie kapitały co przyłożyły się do pomnożenia jej urodzajności naturalnej. Obok tego zjawiska pokazuje się inne jeszcze, to jest, że dzień pracy robotnika płaci się drożej.

Przeciwnie, zapuścimy się w mniej bogate prowincje Francyi, jakoto środkowe lub południowe, a zobaczymy że ziemia więcej przynosi, $3\frac{1}{2}$, niekiedy nawet 4 od 100. W tych samych prowincjach gdzie dochód jest wyższy, praca dzienna robotnika taniej się płaci. Dzień przynosi 25 sous w pierwszych, tylko 15 w drugich.

Rzecz pewna, że pomiędzy prowincjami Francji więcej bogatemi a mniej bogatemi zachodzi różnica o 1 procent od 100 co się tycze dochodu z ziemi; że oznaczyć go można na $2\frac{1}{2}$ w pierwszych, a $3\frac{1}{2}$ w drugich; że co do zapłaty dzienniej robotnika, stosunek zupełnie jest odmienny, i że jeśli ją oznaczyć można na 25 sous w prowincjach, gdzie dochód przedstawia liczba $2\frac{1}{2}$, oznaczyć ją trzeba na 15 sous w tych, gdzie dochód przedstawia liczba $3\frac{1}{2}$. Można urozmaicić te liczby przenosząc się w inne miejsca, ale stosunek pomiędzy niemi zostanie ten sam.

Teraz cofnijmy się wstecz, porównajmy wartość dochodu dzisiejszą z wartością przed sześciudziesiąt laty, to jest przed 1789-m rokiem, a znajdziesz pomiędzy temi dwiema epokami takąż różnicę jaka zachodzi między dwiema prowincjami, jedną bogatą, drugą ubogą. Dobra które w roku 1789-m warte były 200,000 franków, warte dzisiaj 500,000, a często 600,000. Mówię o dobrach w bliskości wielkich miast, gdzie zjawisko podnoszenia się wartości objawia się energiczniej. Dobra te przynosiły może wtedy 7 do 8000 franków właścicielowi, przynoszą mu dzisiaj 12 do 15000, stosownie do ulepszenia gruntów. Przynosiły zatem między $3\frac{1}{2}$ a 4 od 100, a dzisiaj przynoszą najwięcej $2\frac{1}{2}$. Razem z tą odmianą okazuje się inna:

zapłata dzienna robotnika, tam gdzie wynosiła 20 sous, dzisiaj wynosi 30 i 35. Rzecz to niezawodna w okolicach Paryża. Spotykamy i gdzieindziej też same stosunki przy odmiennych wartościach.

Cofając się o jeden wiek, o dwa wieki wstecz, można widzieć toż samo zjawisko; a jeślibyśmy chcieli posuwać porównanie dalej, i sięgnąć wreszcie wieków bardzo odległych, znajdziemy w pisarzu, którego odeczytywałem jeszcze w ostatnich dniach, żeby zgłębić obraz nauczający gospodarstwa domowego starożytnych, w Katonie cenzorze, mądrym i gospodarnym patrycyuszu, który mawiał: *patremfamilias, vendacem, non emacem, esse oportet*, który pisał o rolnictwie w jednej z najbardziej zajmujących ksiąg starożytności, znajdziemy dowód nieomylny że Rzymianie dawali osadnikowi, na ziemi Casinum i Venafru, ósmą część płodów na dobrym gruncie, siódmą na średnim, szóstą na miernym gruncie (*). Dzisiaj, przeciwnie, oddaje się takiemu osadnikowi, który żadnego nie wykląda kapitału, połowa, a dzierżawcy, co dostarcza wszelkich kapitałów, dwie trze-

(*) CXXXVI. *Politionem quo pacto dari oporteat*. In agro Casinate et Venafru in loco bono parte octava corbi dividat, satis bono septima, tertio loco sexta, si granum modio dividet, parte quinta. (M Porcius Cato, de re rustica).

cie (ma się rozumieć że mowa tutaj o liezbie wziętej w przecięciu). Tym sposobem, podobnie jak procent od pieniędzy, idąc od Rzymian aż do nas, zniżył się od 12 lub 15 od sta na 4 lub 5, równie i udział posiadacza ziemi przeszedł z pięciu szóstych na połowę. Kapitał nieruchomy uległ zatem losowi kapitału ruchomego, i stan człowieka co ma tylko ręce polepszył się, zamiast się pogorezyć. W miarę jak bogactwo, albo naturalne, albo nabyte, jest większe, nie staje się bogaty bogatszym, ale ubogi staje się mniej ubogim. Wielkie majątki naszych czasów, w rzeczy samej, niczym są w porównaniu tych jakie były u bogatych Rzymian; zmniejszyły się nawet bardzo w stosunku do tego czém były w wieku XVII i XVIII. Dla mocniejszego jeszcze przekonania o piękném zjawisku że względny wzrost bogactwa ogólnego nadewszystko korzystnym jest dla człowieka co ma tylko ręce, przytoczę jeszcze jeden szczegół. Najemnik do uprawy ziemi w środkowych Francyi prowincjach, la Corrèze albo la Creuse, zarabia 15 lub 20 sous dziennie, gdy tymczasem robotnik przy winnicach w Bordeaux zarabia od 25 do 40 sous. Właściciel w prowincyi la Creuse ma z dóbr 4 od sta, gdy tymczasem właściciel w okolicy Médoc szczęśliwy będzie jeżeli otrzyma 3 (ma się rozumieć w pewnym przecięciu lat); a to dlaczego? Ponieważ kapitały

rzuciły się na winnice Médoc żeby je zakupić, z powodu ich plodów, i dochód od nich zniżyły do trzech od sta, podobnie jak kapitały rzucając się na rentę przynoszącą 5, i płacąc za nią 125, wkrótce ją zniżają do dochodu 4 od sta. Przeciwnie, człowiek co rolę uprawia, którego zręczność tém jest potrzebniejsza im ziemia na której pracuje większej nabyła wartości, większą zapłatę odbierać będzie, i żyzność roli na której mieszka pozostaje dla niego darem nieba, z którego on korzysta, gdy tymczasem dla właściciela, zniknęła przez skwapliwość w ubieganiu się o ziemię. Piękne prawo Opatrzności, która nie chciała żeby człowiek pozostając na tej ziemi i rosząc ją swoim znojem, był nieszczęśliwszy w miarę tego im więcej pracować nad nią będzie.

To zagarnięcie świata ogranicza się więc do zastosowania go, z każdym dniem zupełniejszego, do potrzeb człowieka; ogranicza się do uczynienia go więcej mieszkalnym, płodniejszym, przystępniejszym dla nowoprzybyłych; gdyż, jeżeli idzie o kapitały ruchome, narzędzia pracy, procent, w ciągu dwudziestu wieków, zniżył się ze 12 lub 15 do 4 lub 6 od sta, a intrata z ziemi, co przedstawiała pięć szóstych, nie przedstawia już jak połowę wartości plodów. Tak więc, w miarę jak własność wszelkiego rodzaju rozszerza się, łatwość

życia pomnaża się dla wszystkich. Ale, dodają, ten co nie ma zależy od tego kto ma, ten kto ofiaruje swe ręce zależy od tego kto mu płaci, gdyż płacący odmówić pracy może; ma co jeść, czém się odziać, gdzie mieszkać, gdy żyjącemu z pracy ręk tego wszystkiego brakuje. Twierdzenie jest prawdziwem na dzień, na chwilę, w pewnych okolicznościach. Jakem powiedział wyżej, jak powtórzę tutaj, kapitały bez rąk, ręce bez kapitałów żyć nie mogą. Jedne potrzebują drugich. W pewnych chwilach, kiedy kapitałów brak a ręk dostatek, korzyść pada na stronę kapitałów. Ale kiedy kapitałów obfitość a ręce są zajęte, korzyść przechodzi na stronę rąk. W jakim razie ostatni ten przypadek ma miejsce? Oto, kiedy panuje spokojność, porządek, bezpieczeństwo. Ci więc co zakłócają spokojność, porządek, bezpieczeństwo, zwracają korzyść ze strony rąk na stronę kapitałów. Niech robotnicy których uwodzą dobrze się zastanowią: dzienna ich praca mniej warta dzisiaj niżeli przed rokiem, a pieniądze za które płacono 4, płacą się 6 i 7 od sta.

Teraz, co się tyczy mniemanego zagarnięcia ziemi, zakończę rzecz ostatnią uwagą.

Jeżeli niewolno było odstąpić prawnie ziemi ludziom pojedynczym żeby osiedli na niej, uprawiali, ciągnęli z niej wszystko co tylko wydawać może, czy można było odstępować ją narodom ra-

czej niżeli ludziom pojedynczym? Skargi z jakimi mniemani wydziedziczeni występują na łonie każdego narodu, we Francyi, w Anglii na przykład, czyliż reszta rodu ludzkiego nie mogłaby wystąpić z niemi przeciwko saméjże Francyi lub Anglii? Czyliż nie miałyby także prawa powiedzieć tym wielkim mocarstwom że ród ludzki ma tylko prawo użytku nie zaś właścicielstwa kuli ziemskiej, i że wolno im może wypocząć na ziemi, nie zaś na niej osiedlać się? Narody więc byłyby w stanie jawnego przywłaszczenia, kiedy posiadają od jednej rzeki do drugiej, podobnie jak ludzie kiedy posiadają ziemię od jednej drożyny do drugiej. Zastanówcie się dobrze: jeżeli nie jestem właścicielem pola mojego, Francya nie jest także właścicielką tego co zajmuje od Renu do gór Pirenejskich, Anglia tego co zajmuje od ciałniny Kaletańskiej do wysp Hebrydzkich. Posuwasz rzeczy do ostateczności, powiedzą mi. Czyliż sektarze którym odpowiadam nie posunęli się także do ostateczności, kiedy mówią że grunt otrzymany po ojcu, lub kupiony przez włościanina za owoc trzydziestoletnich trudów, jest rzeczą przywłaszczoną na reszcie rodu ludzkiego?

Nie, narody nie więcéj przywłaszczyły swoje ziemię, jak włościanin nie przywłaszczył szczupłego gruntu, co go otrzymał lub nabył i uprawia; zajmując ziemię zapłaciły Bogu i ludziom szlachetną

cenę, tą ceną jest cywilizacya. Gdyby była tylko sama własność ruchoma, światby pozostał w prawdziwym barbarzyństwie. Człowiek koczujący, co żyje pod namiotem, odziewa się wlną swoich baranów, karmi się ich mięsiwem, zna własność ruchomą, a przecież wiecznie jest barbarzyńcem. Patrzenie na Arabów, lud koczujący, pełen namiętności i wdzięku, tułający się od czasu jak Biblia napisana, tułający się z pastwiska na pastwisko, dosiadający rączych koni, wiodący za sobą swoje żony i dzieci na wielbłądach, pędzący przed sobą trzody nieprzeliczone, powtarzający od czterech tysięcy lat tę samą podróż od brzegów Eufratu do brzegów morza Czerwonego, i zawsze waleczny, zazdrosny, gościnny i łupieżki. Spotkałiśmy ich, my, Francuzi, zdobywcy Afryki, u brzegów Sahary, i zdaje się nam, że nie zmienili się od czasów Mojżesza. Lecz w VII-m wieku mąż wielki porusza ich wzniosłą myślą o jedności Boga, i popycha do zdobyczy pod pozorem obalenia bałwanów. Pobudzeni przez Mahometa, przechodzą od zdobyczy dwóch małych miast Medyny i Mekki do nabycia części świata rzymskiego; zawojowali Syryę, Egipt, Afrykę, Hiszpanię! I w ciągu trzech wieków stają się narodem jednym z najucywilizowańszych na ziemi! Wyszedszy z pustyni palą bibliotekę Alexandryjską. Ale osiadłszy wśród

równin Kairu, Vegi w Grenadzie, Huerty w Walencji, nabierają smaku do ziemi, zamieszkują, dzielą się nią, skrapiają z dziwną troskliwością, uprawiają pomarańcze, drzewo morwowe, len, przędą jedwab', rozkopują ziemię, wydobywają z niej złoto, biorą się do książek które spalili w pierwotnym barbarzyństwie, uczą się ich, wyciągają z nich rachunek, sztukę kierowania się na morzu, podróżują z Europy do Indyj, zkad przywożą tysiączne płody; z rolników zostawszy kupcami, łączą do przyjemności zachodnich przyjemności Wschodu, i zawsze waleczni, śmieli, chciwi, ale uczeni, okrywają Hiszpanię ślicznymi gmachami. Koczujący, żyli pod namiotem; rolnicy, osiedli na ziemi, wynaleźli algebrę i zbudowali Alhambrę!

Drudzy koczujący, Mongołowie, tułając się przez całe wieki po rozległej pustyni Kobi, rzucili się na Chiny, podzielili ich ziemię na tysiączne częsteczki, które naprzemian zalewane lub osuszone umiejętnie, okryły się ryżem; hodowali oni także drzewo morwowe, przewyższyli wszystkie ludy w sztuce tkania jedwabiu, odkryli ziemię która zamiast rudnić jak nasza glina przechodząc przez ogień, wychodzi z niego biała i przezroczysta, zrobili z niej porcelanę i przyozdobili ją tysiącami dziwacznych rysunków, obrabiają drzewo z zadzi-

wiającą sztuką, nauczyli się tajemnicy powlekania go wiecznietrwałym lakierem, budowali palace z laki, wzniesli wieże z porcelany, i dzisiaj jeszcze są najbieglejszemi w świecie rzemieślnikami. Inni koczujący, obrawszy inną drogę, zamienili się w Gotów, Germanów, Franków, Saxonów, są dzisiaj Włosi, Hiszpanie, Niemcy, Francuzi, Angli-
cy, i robią wszystko co wiecie. Jaka przyczyna tak ich do szczytu zmieniła? Jedna tylko, osiedlenie się stałe na ziemi. Kiedy przestali tułać się po piaskach pustyni, kiedy pobudowali mieszkania stałe, zapragnęli uprawiać ziemię koło tych pomieszczeń, potem je przyozdobić, potem odziewać się inaczej. Nabrali tym sposobem wszelkich upodobań, i stali się narodami cywilizowanemi. Porównajcie ich do nieszczęśliwych dzikich Ameryki, i uwielbiajcie różnicę losów. Ameryka nie przedstawiała, jak świat dawny, owych ogromnych przestrzeni piasku, starego dna mórz odkrytego skutkiem gwałtownych wstrząśnień kuli ziemskiej, które nazywają pustynią Saharą, pustynią Arabii, pustynią Kobi, i na których rosną wiekuiście pastwiska. Ameryka bogata w rzeki, lasy, była jakby obszernym parkiem przeznaczonym do polowania. Jój dzieci, podzielone na drobne gromady do łowów, gdy tymczasem koczujący skupia się i rozmnaża tak jak jego trzody, nie założyli, ani za-

wojować mogli wielkich mocarstw. Tułali się jeszcze po swych sawanach, przed trzema wiekami, zaledwo znając własność, oprócz własności swych łuków i strzał, kiedy w starym świecie, najwyższy kapłan, co znał ją aż nadto dobrze, rozdzielał z wysokości Watykanu też same sawany cheiwym Europejczykom którzy przebywali morza żeby się zbogacić, i nie naznaczał innych granic pomiędzy nimi; prócz południków co służą do mierzenia kuli ziemskiej. Tak więc przeznaczono było tym co znali własność, opanować i ucywilizować tych co jój nie znali. Kończę na tém: bez własności ruchomej nie byłoby nawet społeczności; bez własności nieruchomej nie byłoby cywilizacyi.

KSIEGA DRUGA.

O K O M M U N I Z M I E.

ROZDZIAŁ I.

O ZASADZIE OGÓLNEJ KOMUNIZMU.

Że rozbiór komunizmu jest dla własności tém, co matematycy nazywają dowodzeniem per absurdum.

Matematycy dwójaki mają sposób wykazywania prawd geometrycznych: najprzód dowód prosty, zależący na okazaniu przez analizę, że twierdzenie dane jest prawdziwe; potem dowód odwrotny, zależący na okazaniu że twierdzenie przeciwnie byłoby zupełnie i oczywiście niepodobne; ten drugi sposób nazywają dowodem *per absurdum*.

Trzymać się go będę w przedmiocie, o którym teraz mówić zamierzam. Już dałem dowód prosty: okazałem że porządek społeczny opiera się na zasadzie jasnej, płodnej i koniecznej, na zasadzie wła-

sności indywidualnej; dam teraz dowód odwrotny, i okaże porządek społeczny, jeżeli podobna abyśmy go sobie na chwilę takim wyobrazili, oparty na zasadzie przeciwniej, na zaprzeczeniu własności, na spółności dóbr, i użyję dowodu *per absurdum*, jak go matematycy zowią. Jeden którykolwiek z tych sposobów dowodzenia poczytuje się w geometrii za dostateczny, niekiedy wszakże używają obu dla pokazania jak rzeczy z rozmaitego wydają się stanowiska. Droga taka, zbyt uczona może w naukach matematycznych, w których dowodzenia są tyle pewne że podwajaniem być nie potrzebują, użyteczna bywa w naukach moralnych, w których dowodzenie nigdy zbyt mocnym być nie może. Będę więc w tej księdze mówił o komunizmie.

Wymyślono w naszym czasie wiele kommunizmów rozmaitych, komunizm rolniczy, komunizm przemysłowy, i t. d. Nie zapuszczę się w te wszystkie szczegóły, bo nie mogę ściagać społecznego obłąd w nieskończonych jego bredniach. Zajmę się samą zasadą tego szalu, komunizmem istotnym, absolutnym, stanowiącym rzeczywistą treść wszystkich kommunizmów, i który rodzi się natychmiast, nieuchronnie, całkowicie, z samego faktu zaprzeczenia własności. Tento komunizm odmaluje, i ani chce dla ciekawości lub zabawy wodzić czytelnika po idealnych rzeczachpospoli-

tych, które wymarzyli geniusze społeczeńsi, akto-re możeby z przyjemnością zwiedził, gdybym jakiego Platona miał za przewodnika. Nie znajdując Platona, żądam pozwolenia sądzić o nich według planu ogólnego, wszystkim spółnego, i dostatecznego do ocenienia głębokiej mądrości co przewodniczyła rozmaitym ich urządzeniom.

ROZDZIAŁ II.

O WARUNKACH NIEUCHRONNYCH KOMUNIZMU.

Że komunizm pociąga za sobą nieuchronnie, i pod każdym względem, życie wspólne.

Albo trzeba żeby człowiek pracował dla siebie, mógł nagromadzać owoce swój pracy, przekazywać dzieciom, żeby tym sposobem exystował na własną odpowiedzialność i niebezpieczeństwo, czy mu się będzie powodziło trochę, bardzo, czy też wcale nie; chociażby, doznawszy powodzenia, miał doświadczyć nieszczęść nieprzewidzianych, popaść w nędzę i z sobą pogрузić w nią swoje dzieci; albo mówię wszystkie te przypadki i koleje są konieczne, albo trzeba żeby wszystko było przeciwnie: żeby nie było ani bogacza, ani ubogiego,

żeby społeczność wzięła na siebie los wszystkich swoich członków, nie dozwoliła pojedynczemu człowiekowi pracować dla siebie samego, lecz zmuszała go pracować dla niej, a w zamian przyjęła obowiązek karmić go, odziewać, dać mu mieszkanie, wychować go, być jedyną jego rodziną. Słowem, trzeba albo własności ze wszystkimi jej skutkami, albo komunizmu aż do ostatnich jego granic. Między temi dwiema ostatecznościami żadne stanowisko pośrednie nie jest podobne. Kilka słów wystarczy na okazanie do jakiego stopnia wszystkie te następstwa łączą się z sobą węzłem nierozrywającym.

W istocie, ponieważ nie podoba się wam człowiek pracujący dla siebie samego i osobiście używający owocu swój pracy, ponieważ nie podoba się wam człowiek właściciel, przeciwnym więc terminem będzie człowiek niepracujący dla siebie ale dla społeczności, która wydzieli mu pracę, pobiera jej owoc, i wywiązuje się względem człowieka albo dając mu pewną zapłatę, albo biorąc na siebie utrzymanie go i jego dzieci.

Ta społeczność zatem wskazywać mu będzie jego pracę, a on będzie pracował dla niej. Społeczność zamieni się w wielki warsztat rolniczy, stolarski, ślusarski, przedziałniany, tkacki, i t. p., warsztat należący do rządu; rząd pobierać będzie plody,

przechowa w swoich składach i następnie rozpozaj między tych, którzy się przyczynili do ich wygotowania.

W tym olbrzymim warstacie, zapłata czy będzie równa, czy nierówna? Oto robotnik silny, pracowity, pojętny; tu inny słabowity, leniwy, ograniczony: czyliż zapłata ich nie będzie różna? Lecz skoro ich zapłacisz niejednakowo, natychmiast masz znowu początek bogactwa i ubóstwa, natychmiast znowu odżyje ta własność obrzydła! Jeżeli zaś chcesz aby cię rezultat ostateczny nie omylił, trzeba zapłaty jednakowej, trzeba koniecznie. Wszakże robotnik otrzymujący tylko jednakową zapłatę, mały będzie miał interes żeby rąk użyć. Silny, pojętny, nie rozwinie wielkiej gorliwości, nie popracuje tyle ileby mógł, i skoro pewną ilość roboty wykona, nie go nie wstrzyma że opuściwszy ręce spać się położy. Jedyńy sposób by temu zaradzić, jeśli nie chcecie obarczyć się dozorowaniem ciągłym i nieznośnym, będzie taki, iż każecie wszystkim członkom swojej nowej społeczności pracować pod okiem jedni drugich, to jest zobowiązacie ich do pracowania razem. Tak więc praca wspólna jest pierwsze następstwo konieczne położonej zasady.

Po pracy idzie użycie. Gdy człowiek już pracował, musi jeść, odpocząć, zbliżyć się do małżonki swojego wyboru, zaspokoić przy niej serce

i zmysły. W starém społeczeństwie które mamy zrugować, otrzymuje zapłatę pieniężną, za którą nabywa jadła, odzieży, rzeczy do przyjemności służących, dla siebie, dla swój rodziny, i używa tego wszystkiego w domu, u siebie, w swoim kącie.

Společność, zatrudniwszy go w warstacie narodowym, gdzie pracę odbywał razem, czyliż mu dozwoli używać zapłaty u siebie, w domu, w swoim kącie, czyli też domagać się będzie używania wspólnego, jak wspólnej pracy? Obaczycie, że jedno pociąga za sobą drugie.

Jeżeli, nakazawszy pracę wspólną, dopuścisz używania indywidualnego za pośrednictwem zapłaty (czy w pieniądzu, czy w naturze, wszystko jedno), natychmiast spotkasz się z następstwami zapłaty niejednakowej, którą musiałeś odrzucić.

Bo w istocie, człowiek ma jedną skłonność, którą w dawniej społeczności ceniono wysoce, usiłowano rozwinąć nie zaś stłumić; tą niebezpieczną skłonnością jest oszczędność. Żeby do niej zachęcić, używali wszelkich sposobów, literatury i skarbowości, bajki o mrówce i kass oszczędności. Wszystkim stawili za przykład, za wzór, robotnika, który pilny i trzeźwy, oszczędza dla żony i dzieci, chowa część zarobku dni pomyślniejszych na zapas dla dni kiedy zarobek chybiał. Dzisiaj, kiedy *moje* i *twoje* zniesione, kiedy macie na celu

spólność własności, dziś własność indywidualna byłaby istną kradzieżą której zapobiedz należy. Oszczędność byłaby błędem, występkiem, zbrodnią, stosownie do stopnia. Nie trzeba zatem oszczędności. Należałoby więc zachęcać każdego aby jadł i pił ile może, a nawet więcej, gdyby zapłata spólna przechodziła jego potrzeby. Trzebaby nadto przekonywać się, czy zakaz zabraniający zbiorów jest wykonywany, przetrząsać kieszenie, domy, dla zapobieżenia aby przestępstwo własności nie odżyło znowu, jak czynią w Meksyku w kopalniach dyamentów, jak czynią w Europie po mennicach, przyczém niekiedy, mianowicie w Meksyku, poszukiwania dokonywane na osobach bardzo daleko bywają posunięte. Trzebaby jeszcze obawiać się silnego uczucia, miłości rodzicielskiej, wiodącego do oszczędzania, i należałoby usiłować wykorzenić je z serca ludzkiego; inaczej naraziłbyś się na to, że w jakim skrytym zakątku ojciec i matka nagromadzą mały skarb dla swoich dzieci.

Ten zakaz oszczędności, potrzebny dlatego aby odrodzeniu się własności zapobiedz, wymagałby, przyznać trzeba, rozporządzeń nader drobiazgowych, bardzo uciążliwych. Otwarcie mówiąc, pomimo wszelkiego umiarkowania z jakim przedmiot ten rozważyć pragnę, byłyby nieznosne, a ja co jestem wielki przyjaciel posłuszeństwa dla praw,

widząc co się tu dzieje, anibym się dziwił gdyby agentów policyi kommunistowskiej wyrzucili przez okno. Dla zapobieżenia więc szykanom, używanie spólne będące, dopełnieniem spólnej pracy, powinno koniecznie być zaprowadzone, jako środek załatwiający wszystkie wymienione przezemnie trudności.

Tak więc pracowanoby spolem, jedni pod okiem drugich, coby przynajmniej robotnikom nie pozwalało całkiem opuścić ręce; używanoby spolem, u spólnych stołów, gdzieby każdy jadł i pił wedle potrzeby, ani więcej ani mniej; odziewanoby się w ubiór jednostajny, wzięty ze składu ogólnego, co zapobiegłoby tajemnym zbiorom, będącym prawdziwą kradzieżą na szkodę takiej społeczności. Chcąc być konsekwentnym, nie można żadnym sposobem nie przebyć całej tej drogi.

Albo komunizm będzie najstraszniejszą ze wszystkich spekulacyj, albo trzeba zaprowadzić pracę pod okiem jedni drugich. Albo komunizm będzie inkwizycją najnieznośniejszą, albo trzeba podobnie zaprowadzić używanie pod okiem jedni drugich. Nawet przy tej podwójnej ostrożności jeszcze jest, oświadczam wam, najbezrozumniejszym z wynalazków ludzkich. Ale jaki taki, przynajmniej będzie konsekwentny.

Idźmy dalej. Doświadczenie tysiąc razy stwierdzone przekonało, że aby rzeczy dobrze robić, trze-

ba robić tylko jedną. Geniuse uniwersalne są rzadkie, a nawet i te są uniwersalne tylko do pewnego stopnia. Znajdziesz robotników zręcznych którzy kilka rzeczy zarówno dobrze wykonywają, literatów którzy w kilku rodzajach pisania się odznaczają, jakim był Wolter. Ale Wolter byłby złym geometrą, chociaż trochę znał się na geometrii, gorszym jeszcze żołnierzem, gorszym jeszcze robotnikiem, bo ludzie, u których systemat mózgowy mocno rozwinięty, rzadko mają systemat muskularny rozwinięty w takimże stopniu. Napoleon, tak wielki wódz, tak wielki administrator, tak wielki prawodawca, byłby złym poetą, choć był wielkim pisarzem; byłby grenadyerem nie do rzeczy, choć był mężny; i robotnikiem niezgrabnym, choć dla transportu swoich armat wynajmował tysiące sposobów, jedne przemyślniejsze nad drugie. Taki jest udział najznakomitszych ludzi: cóż mówić o miernych?

Wynika z tej prawdy, że stosownie do rozmaitego usposobienia swego, jeden powinien być rolnikiem, inny stolarzem, ślusarzem, mechanikiem, zegarmistrzem, rzeźbiarzem, uczonym, literatem, prawodawcą. Wtedy to, co zrobiłoby się zamieszać i miernie, robi się za dzień i doskonale. Ekonomisci to nazwali *podziałem pracy*, i to, według nich, spowodowało wydoskonalenia prawie niepojęte któ-

remi się odznacza przemysł dzisiejszy. Pasterze szwajcarscy, wolnym czasem, w porze zimowej, zajmują się wyrabianiem w wielkiej massie kólek i sprężyn do zegarków. Zegarek taki składa się u zegarmistrza w Paryżu, i robotnik może go kupić za 50 franków, kiedy przed dwustu laty kosztowałby 1000 franków, to jest tyle albo więcej jak robotnik da córce posagu. Kilka lat temu lokomotywa kosztowała 70.000 franków; dziś kosztuje 45.000, odkąd jedni fabrykanci wyrabiają kotły parowe, inni resory, inni znowu osie. Może kosztować będą niewielej jak 10.000 franków za lat dziesięć albo dwadzieścia.

Tak więc różnaitość professyj jest prawem każdej społeczności, chcąc produkować dobrze, prędko, wiele i tanio. Pojąć można nieliczną gromadkę pasterzy, która hoduje trzody, tyle zna rolnictwa aby trochę uprawić zboża, wełnę swych owiec daje kobietom wyprząść, utka z tej przędzy odzież, tym sposobem najniezbędniejsze rzemiosła sama wszystkie wykonywa, i jeżeli zasięga pomocy obcego przemysłu. to chyba aby w zamian za parę serów dostać nóż lub garnek gliniany. Chociaż i u tych pasterzy różnaitość professyj już się zaczyna, bo muszą zkaładną dostawać żelazta i wyrobów garncarskich, można jednak powiedzieć iż wszystko prawie dla siebie fabrykują sami. Ale nie za-

pominajmy że to są ludzie najnieokrzesalsi, mieszkający najwznioślejszych wyżyn globu, blizkich granicy wiecznych śniegów, dalecy od wszelkiej cywilizacyi, u ostatnich krańców wykształcenia, osiedli na skraju gdzie się poczyną kretynizm. Przeciwnie, każde społeczeństwo, chcące postępować, iść dalej, doskonalić się, musi przyjąć rozmaitość professyj, z której wynika, że każde indywiduum ma swą professyę specjalną, albo wyrażając się językiem naukowym, wynika *podział pracy*.

Kommunizm zatem będzie także zniewolony podzielić warstwy wspólne. Będą robotnicy do uprawy ziemi, do wyrobów z drzewa, żelaza, łą, do konstrukcyi machin, robotnicy do poszukiwań naukowych, robotnicy zajmujący się prawami, rządem kraju, literaturą, wreszcie, stosownie do stanu cywilizacyi, będą robotnicy malarze, snycerze.

Czy wszystkich tych ludzi zechcecie skazać na jednolity sposób życia? Czy dacie też same pokarmy, taką odzież człowiekowi który ziemię zlewa swoim potem, który twardą ręką kieruje plug, albo bije młotem żelazo na kowadle, i robotnikowi, który ręką delikatną i miękką teże jedwabie, ryje na miedzi? A człowiek co śledzi bieg gwiazd, włada piórem albo pędzlem, żyje wzniosłym oddany myślom, czy każesz mu zasiąść u je-

dnego stołu z prostym rolnikiem, żyć w jego towarzystwie? Oświadczam ci z góry, ja, co należałem do układu praw, do rządu państwa, com wydał pisma liczne, że wolę prosty zdrowy rozum tego rolnika niż nudne brednie niejednego mniemanego filozofa; ale kiedy rolnik mi nagada o pszenicy, roślinach pastewnych, nawozie, o rzeczach bardzo z siebie ważnych, ale na których się nie znam; kiedy ja nagadam mu o Platonie, Cezarze, Machiawelu, Kartezjuszu, Kolbercie, co także jest ważne, ale czego on nie rozumie: znudzę go, znudzę daleko więcej niż on mnie, bo ja potrafię coś nauczyć się od niego, on nie nie nauczy się ode mnie.

Trzeba więc będzie urozmaicić żywność, odzież, towarzystwo, stosownie do zatrudnień, albo wrócić do stanu nieokrzesania moich pasterzy, w którym wszystko to może pozostać jednolite bez niedogodności. Nadto, jeżeli chcecie mieć społeczność udoskonaloną, jedwabie tak piękne jak florenckie, naczynia tak piękne jak greckie, owoce tak wykwintne jak hodują w Montreuil albo Fontainebleau, rzeczą jest niepodobną produkować to wszystko tylko w gatunku tak wyszukanym; bo, jakem wyżej powiedział, bez wyrobów ordynaryjnych, zwyczajnych, miernych, nie masz wyrobów wyższej dobroci; tak każe nieodzowne prawo postępo-

wego biegu każdego przemysłu. Jeżeli więc chcecie mieć te wyroby wyższej dobroci, macie dwa powody zamiast jednego żeby professyonistów rozmaitych utrzymanie było także rozmaite: raz, dla różności obyczajów osób które się temi professjami zajmują, powtórę dla samėj nierówności wyrobów, które nie dla wszystkich spożywających będą jednostajnie stosowne.

Będzie zatem stół i towarzystwo rolników, kowalów, ludzi oddanych ciężkiej pracy; stół i towarzystwo tkaczów, mechaników, oddanych pracy lżejszej i mających rozwinąć mniej siły a więcej pojęcia; stół i towarzystwo nakoniec ludzi pracujących tylko głową; i lubo wyliczenie moje bardzo ograniczam, klasyfikacye będą musiały być urozmaicone bez końca.

Następnością komunizmu więc jest, oprócz życia spólnego w pracy i w używaniu, klasyfikacya professyj i osób co się niemi zajmują, i urozmaicenie ich sposobu życia, ustanowione za pomocą przepisów władzy publicznej.

Będą nieuchronnie stoły bogatych i ubogich: jedne i drugie, powiedzą mi, należyce wymiarkowane, tak aby stoły ubogich zaspakajały potrzebę, a na stole bogatych nie dopuścić zbytku; należyce wymiarkowane, pozwalam, ale wymiarkowane przez władzę publiczną, która sama oznaczy bo-

gatych i ubogich, przynajmniej oznaczy do jakiej kategorii pod względem utrzymania kto ma należeć.

Lecz to jeszcze niewszystko. W społeczności człowiek zostawiony jest sam sobie, obiera sobie zawód. Jeśli chciał wznieść się zbyt wysoko, nie udaje mu się, spada znowu. Ten z robotnika chciał zostać majstrem; upada, wraca do stanu robotnika, nawet wyrobnika. W systemacie gdzie społeczność bierze człowieka w opiekę, społeczność téż każdemu indiwiduum wskaże miejsce; obejrzawszy ręce i czaszki powie: ty, będziesz rolnikiem; ty, tkaczem; ty, mechanikiem; ty, uczonym; ty, malarzem albo poetą; ty, Archimedesem, Newtonem, Kartezjuszem, Rasynem albo Bossuetem! Wyznaczy plug, młot, pilnik, czółenko, pióro, teleskop, oręż, jak się daje dystrybucya tabaki i stęplowego papieru!

Albo żadnych professyj rozmaitych, żadnych stopni, a wtedy żadnych kunsztów, tylko moi pastarze, zawsze moi pastarze; albo, jeżeli chcecie mieć professye rozliczne i sztuki, trzeba odróżnienia, bogactwa, geniuszu wreszcie, z mocy decyzji władzy którą prawo ustanowi. Wszystko to jest konieczne, wszystko to trzyma się nierozzerwanym węzłem.

Jeszcze jedno pozostaje nieuchronne następstwo

komunizmu, brakujące do zupełnej harmonii systemu, a które, jeśli w nim nie jest zamieszczone, dowodzi, że samemu systematowi nie dowierzają. Mówię o zniesieniu rodziny.

O! zapewne, można w liczbie owych stołów społecznych zamieścić stół dzieci, jak stoły matek i ojców; zniosłszy *moje i twoje* co do rzeczy materialnych, można je utrzymać co do rzeczy moralnych. Można, mając żonę swoją, mieć dzieci swoje, uznawać je, kochać, całe życie o nich pamiętać. U Spartanów były stoły wspólne i była rodzina; ale to były stoły wspólne wojowników. Własność, z żoną i dziećmi zostawała w domu. Żona czuwała nad dziećmi, pilnowała ilotów, niewolników uprawiających ziemię. A pod koniec społeczności Spartańskiej, która przecie w połowie tylko była przeciwna naturze, kobiety miały wszystką własność i obyczaje najbrzydsze. Mężczyźni oddawali się rozkoszom ohydny: waleczność jedynym ich była przymiotem.

Przypuszczam więc że dzieci będą mogły należeć do rodziców, którzy pójdą odwiedzać je u wspólnego stołu. Lecz, proszę, czyliż nie czujesz na jakie Tantalowe męki okrutna niekonsekwencya twoja skazała nieszczęsnych rodziców? Jakiż silniejszy bodziec do żądzy posiadania, nad miłość ku dzieciom? Aby dzieci z bogactw, aby przynajmniej

dzieci żyły trochę lepiej, oto na co po większej części pracują ojcowie i matki. Zostawiasz rodzicom dzieci żeby je kochali, a nie pozwalasz im żeby pracując dla dzieci zaspokoili to uczucie! Jakto! widzieć je będą, do serca przyciskać, a nie nie zdołają uczynić dla ich dobra! W społeczności z trzydziestu milionów dusz złożonej, będą musieli pracować na polepszenie bytu trzydziestu milionów ludzi, aby z tego trzydziesto-milionowa częśćka dzieciom ich się dostała! Nie będzie to męka okropna? Bądźcie przecie konsekwentni. Chcecie złać w jedną całość byt indywiduów: zlećcie i serca. Przecie wszelkie związki między ojcem, matką i dziećmi: dzieci niechaj do wszystkich należą; ojciec i matka niechaj ich poznać nie mogą, a wtedy kochać będą wszystkie, bez wyjątku. Pójdą, o pewnych godzinach, oglądać dzieci społeczności, jak się idzie do psiarni, albo do obory, albo do stada, oglądać z niejakiem upodobaniem przybytek inwentarza. Może tu lub owdzie poznają jedno dziecko, co spowoduje omamienie chwilowe, nawet jaki wyłączny a przeto nienależyty pociąg; ale nazwyczaicie rodziców do rozlania uczuć swoich na ogół, a wtedy niekonsekwencya, zawarta w pozwoleniu kochania istoty dla której nie uczynić nie można, ta niekonsekwencya ustanie. Nadto jeszcze bądźcie konsekwentni z wielu względów: bo je-

żeli własność jest niedogodna, rodzina jest nią zarówno, i z téjże przyczyny. Prawo nieodzowne skazuje cię, żebyś patrzył na ogród sąsiada pełny owoców, a chociaż pragnienie cię pali, abyś się ich nie tknął. Toż samo zachodzi co do stosunków między płcią oboją. Przez nietrafność w wyborze małżonki, połączyłeś się z kobietą nieznosną. Ale tuż koło ciebie jest kobieta inna, piękna czy niepiękna, która ci się podoba, której ty się podobasz, a nie możesz rzucić się w jej objęcia, chociaż ona pragnie przycisnąć cię do serca. Owoż znowu własność trudna także do ścierpienia. Więc dobrze! wyruguj ostatnie ślady *mojego* i *twojego*: a wtedy człowiek, przypuszczony do wspólnej pracy, do wspólnego używania, do jedzenia i picia bez wstrzemięźliwości u stołu wspólnego, będzie mógł także zaspokoić namiętność z kobietą, która mu się spodoba, nie troszcząc się o następstwa. Społeczność, mająca obowiązek wychować dzieci wszystkich, kosztem wszystkich, to opatrzy, a człowiek próżen ubóstwa, mogący zaspokoić wszystkie swoje chęci i żądze, otrzyma cały wymiar szczęścia jaki natura mu przeznaczyła, a którego odmawia mu społeczność tyrańska.

Sprawiedliwość wymaga po mnie bym nadmieniał, że nie wszyscy przeciwnicy własności dopuszczają ten ostatni stopień komunizmu; pomimo

to nie mogę przyznawać im więcej zalety, a lituję się nad ich niekonsekwencyą.

Usiłowałem roztrząsnąć z powagą ten systemat poważny. Zamykam niniejszy wykład, przykry dla każdego człowieka rozsądnego, i poczytuję za niezbieżne dowiedzione następności poniższe:

Albo trzeba żeby człowiek pracował dla siebie, a skoro tak, aby był właścicielem: albo téż, trzeba by pracował dla społeczności, która przyjmie o nim staranie, i ochroni go od wypadków losowych pracy wolnej.

W tym ostatnim razie, nieuchronnie wynika wspólność zupełna wszelakiego stopnia.

Potrzebna praca wspólna dla zapobieżenia próżniactwu, używanie wspólne dla zapobieżenia oszczędności.

Potrzebna jeszcze albo równość nieokrzesa, albo, jeśli się dopuści cywilizacya, potrzebne wyrokowanie saméjże społeczności o usposobieniach każdego indywiduum, i utrzymanie nierówne, dla spożycia płodów nierównych; potrzebna, słowem, albo równość z barbarzyństwem, albo nierówność z cywilizacyą, ale nierówność za wyrokiem władzy publicznej.

A nakoniec, chcąc być zupełnie konsekwentnym, potrzeba, przy niemożności uczynienia czegokolwiek dla swoich dzieci, jako skutku zniesienia

wszelkiej własności, potrzeba mówię usunąć mękę kochania dzieci, ztąd nie narażać ojców na to aby ich poznać mogli, i uwolnić ich od małżonek starych, co usunie niewolą stadł źle dobranych.

Wszystkie te następstwa łączą się węzłem nierozzerwanym i jedna z tych instytucyj prowadzi do drugiej. Albo wszystko własne, albo nie; a więc nie, ani chleb, ani żona, ani dzieci; wszystko wspólne, praca i używanie. Człowiek tym sposobem żyć będzie jak stała sarn i jeleni co bujają po lasach, albo jak kupy psów niemających pana, co się roją po stambulskich ulicach.

Tój przyszłej ludzkości trzy czynię zarzuty: niszczy pracę, wolną wolę, rodzinę.

Trzeba ją krótko rozważyć pod temi trzema względami.

ROZDZIAŁ III.

O KUNNUZMIE W STOSUNKU DO PRACY.

Że komunizm zabija wszelką gorliwość do pracy.

Rzecz oczywista, że chcąc zapobiedz własności, to jest, chcąc zapobiedz temu aby jeden miał mało drugi wiele, nie należy dozwałać nierówności w opłacie pracy. Samo z siebie wynika, że kiedy mówię o równości i nierówności w opłacie pracy, rozumiem równość albo nierówność opłaty w jednėje professyi, bo jeżeli komunizm uklassyfikuje professye i rozmaite im utrzymanie przeznaczy, co musi uczynić aby mieć kunszt, zachodzić będzie wtedy nierówność opłaty między professyami, o której tu nie mowa. Ja tutaj mówię tylko o opłacie za pracę w jednėje i tėje samej professyi.

Jeden rolnik może być silny i roztropny, drugi nie; podobnież kowal, tkacz i t. d. Płacąc im nierówno, narazisz ich na to, że będą posiadali nierówno. Trzeba więc opłacać ich jednakowo, i, ażeby uniknąć bądź lenistwa, bądź oszczędności, dawać w zapłacie życie wspólne. Cokolwiek bądź, czy który wykona robotę dobrze lub źle, czy zrobi wiele albo mało, obejdą się z nim jak z innemi; nagrodą jego będzie pomyślność ogólna, albo honor. Nie chcę napróżno czas zabierać moim czytelnikom, i twierdzę, nie przytaczając dowodów które się same każdemu nastroją, że ci robotnicy, mający za pobudkę do pracy ogólną pomyślność albo honor, pracować nie będą. Wyobraźcie sobie na przykład mechanika, któremu powiedzą: Pracuj, przyjacielu, dwie, trzy godziny więcej dziennie, a za lat dziesięć, dwadzieścia, społeczność francuzka będzie bogatsza. — Nie mówię że zostanie nieczuły na taki rezultat, ale wątpię aby dwie godzin więcej chciał pracować. Lecz, przeciwnie, jeżeli pan mu powie: Oto część maszyny którą robiłeś dziesięć dni, brałeś po pięć franków dziennie, dostałeś za nią pięćdziesiąt franków; daję ci ją do roboty od sztuki: zrobisz ją w tylu dniach jak zechcesz, a zapłacę ci ją również pięćdziesiąt franków; jeżeli tak pan do niego przemówi, robotnik wykona ją w dni pięć, sześć, siedm, aby zarobić

ośm, siedm albo sześć franków. O! wtedy nie pożałuje ani rąk, ani czasu, ani nocy, i postara się zarobić więcej, bądź dla siebie, bądź dla swoich dzieci. Gdyby było inaczej, robota od sztuki nie byłaby wynalezioną.

Rzekną mi: Odrzucasz pobudki najszlachetniejsze. Odpowiadam: wy chcecie ich źle użyć. Mnie się zdaje, że jeżeli powiesz robotnikowi: pracuj wiele, a nie dostaniesz ani więcej, ani mniej, ale Francya za dziesięć lub dwadzieścia lat będzie bogatsza, robotnik ściśnie ramionami, bo rzecz idzie o pieniądze, a prawisz mu o pomyślności kraju. Ale jeśli mu powiesz: umrzyj dla ocalenia Francyi, może cię usłucha, i jeżeli przez dobre instytucye wojskowe umiałeś wznieść jego duszę, rozwinąć w nim uczucie sławy, umrze pod Austerlitz, Eylau, albo pod murami Paryża. Bo człowiek więcej ma skłonności do lenistwa niż do tchórzostwa, i do każdego rodzaju wysilenia trzeba mu innego bodźca.

Aby go pobudzić do pracy, okaż mu w zysku byt dobry; aby go pobudzić do poświęcenia, wskaż mu sławę. Jakto! honor miałby być nagrodą że przez dzień wyheblował jedną lub dwiema deskami więcej, że kawał żelaza lepiej opiłował! Bluźnisz! Honorem nagradzaj d'Assas'a, Chevert'a, Latour-d'Auvergne: zapłatą czyli środkiem do dobrego

bytu, do uprzyjemnienia materialnego życia, nagradzaj tego co pracował pilnie i zrecznie, a jeśli przytém jest człowiek prawy i porządny, okaż mu szacunek, bo i moralnych przyjemności ucziwemu robotnikowi trzeba. Rozumować inaczej, jestto nie znać natury ludzkiej, i wszystko pomieszać, chcąc niby wszystko zreformować.

Wzniosłe poświęcenie, wzgardę śmierci otrzymasz od chwilowego zapалу, gdy go zrecznie wzniesisz. Ale pilne i nieustanne zajęcie się robotą powszednią, co nazywają pracą, otrzymasz jedynie obietnicą dobrego bytu. Wprawdzie i praca uporczywa może niekiedy doprowadzić do sławy, jeżeli idzie o Newtonowskie badania, a wtenczas sława jest jeszcze bodźcem nowym do pracy; ale ogół pracy którym społeczność żyje otrzymać się tylko da, gdy pracującemu zapewnisz materialną zapłatę. Kiedy człowiek walczy z przyrodzeniem aby mu wydrzeć płody któremi się karmi lub odziewa, walczy dla samychże tych przedmiotów; trzeba mu je więc dać, trzeba nagradzać pracę stosownie do celu jaki sobie założyła, i, ażeby pobudzić do niej ile tylko można, dać człowiekowi ni mniej, ni więcej, ale tyle jak wyprodukował. Trzeba nadto doń zbliżyć ten cel, i dlatego, nie przedstawiać mu w widoku dobro ogółu, ani nawet kilku, ale jego własne i jego dzieci. Takie postępowanie jest nietylko

sprawiedliwe, ale zawiera w sobie najwyższą jaką może być zachętę. Kto wiele robi, wiele mieć będzie; kto mało robi, mało mieć będzie; kto nie robi, nic nie dostanie. Tak każe sprawiedliwość, rozsądek, rozum. Nie mów, że to jest niszczzenie szlachetnych pobudek: to jest zachowanie ich na szlachetne cele dla których są przeznaczone. Zapłata dostanie się pracy, chwala szczytnym poświęceniom albo geniuszowi. Oto człowiek co pracuje życie całe aby siebie wyżywić z rodziną, zapłać go, zapłać dobrze. Poświęca się raz do tego stopnia iż pewną gardzi śmiercią, nagródź go chwałą żołnierza. Zrobił odkrycie, nagródź go sławą wynalazcy. Daj każdemu co mu należy.

Tak więc, bez zapłaty osobistój, stosunkowej do pracy, do ilości i dobroci pracy, niemasz gorliwości do pracy. Wasza społeczność, wynagradzająca robotników utrzymaniem jednakowém, ogólném i spólném, niezadługo z głodu by umarła. Zaledwie nasza społeczność, gdzie własność jest dopuszczona, gdzie praca przynosi zysk temu co się jęj poświęca, jemu tylko samemu i jego dzieciom, zaledwie ta społeczność jest w stanie dać wszystkim chleb, a często zły chleb. Cóżby się stało gdyby nikt nie pracował dla siebie, gdyby wszyscy tylko pracowali dla ogółu? Choćby rozdział był inny, skutek byłby ten sam; bo, jak już powiedziałem, wia-

domo z rachunku łatwo dającego się ustanowić, że przelanie bogactw indywidualuów najbogatszych na individua najuboższe, uczyniłoby w stanie tych ostatnich zmianę ledwie dostrzeżoną. Dla każdego ubogiego nie przybyłoby dziennie nawet pół grosza, a massa produkeji ogólnej zmniejszyłaby się o połowę, może o trzy czwarte. Wszysey marliby z głodu: oto jedyna łaska jakąby im wyświadczone.

ROZDZIAŁ IV.

O KOMUNIZMIE W STOSUNKU DO WOLNÉJ WOLI CZŁOWIEKA.

Że komunizm jest negacyą absolutną wolnej woli ludzkiej.

Komunizm zabija pracę, bo oddalając cel, tłumi zapal wiodący do dopięcia tego celu; co większa, znosi wolną wolę człowieka.

Czémże więc jest ta społeczność wymarzona, w której, z obawy aby człowiek nie zbłądził, nie omylił się, nie doznał zawodu lub zbytniego powodzenia, nie pozostał ubogim lub nie zбогаcił się, każą mu pracować dla społeczności, która go ma karmić, odziewać, utrzymywać; w której przeznaczą mu jego powołanie, mianują go skutkiem wyroku rolnikiem, kowalem, tkaczem, literatem, matematykiem, poetą, wojownikiem; w której, skut-

kiem wyroku, to przeznaczają mu sposób życia wykwiniejszy, to każą mu żyć w sposób najprostszy, chyba że, dla uniknięcia trudności takiej klasyfikacyi, utrzymają wszystkich w nieokrzęsanej równości pasterskiej? Czémże jest ta społeczność? Powiem wam: będzie to ul, albo mrowisko.

Są bowiem w przyrodzeniu zwierzęta żyjące społecznie, i przedstawiające wszystkie pozory społeczności ludzkiej. Patrz, na przykład, pszczoły: pracują pilnie, nieustannie, zwiedzają rośliny okoliczne, nigdy się nie omylą w wyborze, wysysają mały zapas soku z kielicha kwiatów, wróciwszy do ula pracują tam jak architekci nieomylni, nigdy nie popełnią błędu w rozmiarze swych komórek, z wosku robią ściany, w tych ścianach składają miód, wychowują potomstwo, które potem wypuszczają za obręb ula, puszczają w świat, jakbyśmy powiedzieli wyrażając się po ludzku, aby tam nową utworzyło osadę, to jest nowy ul.

Śród tych przemyślnych owadów nie znajdziesz pszczoły ani pilnej ani leniwiej, ani bogatej ani ubogiej, ani cnotliwej ani występnej. Wszystko tam idzie dobrze, wszystko jest jak być powinno: a wiesz przyczynę? Bo wszystkiem rządzi przewodnik niemylny, instynkt. Wasza społeczność, wiecie czémby była? Ulem pszczoł. Człowiek, taki jakim wy chcecie go uczynić, wiecie czémby był?

zwierzęciem, poniżonym do stopnia stworzenia będącego niewolnikiem instynktu.

Jednem słowem, brakowałoby wolnej woli, a wolna wola na tem zależy, że człowiek może błądzić, może cierpieć. Błąd i prawda, cierpienie i rozkosz, taka jest dusza ludzka!

Pszczoła nie błądzi; buja od kwiatu do kwiatu, kąpie się w powietrzu i promieniach słońca, doznaje zapewne jakichś przyjemności, choć nie doświadcza żywych uczuć nam właściwych: a wróciwszy do ula, robiąc dziś to robiła wczoraj, używa nóżek swych jak cyrki, i niemylną będąc machiną nigdy nie zbłądzi. Z człowiekiem rzecz ma się całkiem inaczej: jego ulem są Ateny, Rzym, Florencya, Wenecya, Londyn, Paryż. Jego działania są całkiem inne. On nie ma bujać od kwiatka do kwiatka, wólow od wszelkiej możliwości mylenia się. Ma oszczędzić stosunki najrozleglejsze, najzawikłańsze, utworzyć pokarmy sztuczne którymi się żywi, sprowadzać ze wszystkich stron świata plody najrozmaitsze, znać ich cenę, sprawić aby przybyły w porę, pod korzystnymi warunkami. Dla przewożenia ich przez morza niezmierne, musi poznać bieg gwiazd, wiatrów, pór roku, musi umieć w drodze bronić się geniuszem Ruytera, Jana Barta, Nelsona. We wszystkich tych działaniach może trafić, może

chybić. Gdyby nie mógł się mylić, gdyby widział prawdę, koniecznie, niechybnie, za pierwszym rzutem oka, nie byłby wolny. Byłby albo tą pszczołą, która, uorganizowana do drobnych czynności wykonywanych bez błędu, jest maszyną żyjącą, wprowadzoną w ruch niechybnymi sprężynami natury ożywionej, zwanymi instynktem; byłby albo tą muchą, albo Bogiem, Bogiem samym, takim jakim go usiłujemy pojąć, widzącym prawdę wiekiową bezpośrednio i bez przerwy, bo sam jest tą prawdą. Albo maszyną, albo Bogiem, będzie istota mylić się niemogąca. Człowiek zaś może uchwycić prawdę, może się z nią rozminąć, i przez to jest istotą wolną: dochodzi zaś do prawdy przez rozważanie, słowem mówiąc, przez pracę.

Co powiedzieliśmy stosuje się do rozumu człowieka, ale rozum nie jest jeszcze całą duszą. Nie dosyć na rozpoznaniu przedmiotów, które na tem zależy że człowiek rozpoznaje dobrze lub źle, szybko lub powoli, z pewnością albo też niedokładnie; trzeba mu jeszcze pobudek. 'Gdyby widok rzeczy zostawiał go obojętnym, byłby może ciekawy, ale bezczynny. Aby działał, trzeba mu pobudek do działania. Aby się do rzeczy zbliżył, od nich oddalił, trzeba iżby rzeczy te obudzały w nim albo pociąg, albo wstręt; oto prawo atrakcyj które

remu człowiek ulega. Księżyc przyciągany od ziemi i około niej krążący, ziemia przyciągana od słońca i około niego krążąca, odbywają te czynności z przyczyn w których czucie nie ma udziału. Człowiek zaś pociągany od tego lub owego przedmiotu, spowodowany do tej lub owej czynności, ma swoją atrakcję: jest nią rozkosz albo ból. Gdyby ich nie doznawał, byłby tym księżycem, tą ziemią, które, choć co do ogromu nieskończenie od niego większe, nie posiadają godności moralnej jaką nadaje człowiekowi przymiot, iż jest istotą czującą i myślącą. Aby się poruszał, trzeba aby był przyciągany lub odpychany, aby doznawał przyjemności lub cierpienia, według tego jak w czynnościach jego powiodło mu się albo nie powiodło. Może się mylić, może cierpieć: w tem podwójna wolność jego duszy. Zawsze rozpoznać prawdę, zawsze doświadczać jednegoż wrażenia, choć przyjemnego, byłoby to samo co nie rozpoznawać, nie czuć; byłoby to, zstępować w dół, zostać pszczołą, polipem, rośliną, kamieniem, a jeszcze dalej, graniczyć z nicością; albo też wstępować w górę po skali istot, wznosząc się po niej nieskończenie, dojść do Bóstwa, takiego, jakim usiłujemy go pojąć. A zatem mózdz mylić się, mózdz cierpieć, lecz mózdz razem i to co błędowi i cierpieniu jest przeciwnie, na tem zależy wolna wola, oto co czło-

wieka wywyższa nad zwierzę powodujące się instynktem, ale stawia niżej od tej Istoty, którą usiłujemy wyobrazić sobie, odejmując Jój wszystkie niedoskonałości natury naszej ograniczonej, a którą zowiemy Bogiem.

Wzniosła duszo ludzka, duszo głęboko czująca rozkosz lub cierpienie, pochodnio którą Bóg w nas zażęł abyś nami powodowała i nas prowadziła, duszo wolna, czyliż cię trzeba stłumić jak płomień uprzykrzony co nas męczy i pożera! Cheecie więc zgasić ten święty ogień co w nas goreje, chcąc odebrać nam wolną wolą, i poniżyć nas do stopnia pszczoły albo mrówki! Jako! z obawy abym nie pobłądził, abym się nie zawiódł w rachubach, abym nie został tém co wy zowiecie bogatym lub ubogim, abym nie cierpiał zimna, głodu, nędzy, zamknięcie mnie w ulu, wyznaczycie mi robotę, będziecie mnie karmić, odziewać jak się wam podoba, weźmiecie miarę moich sił, skłonności, geniuszu, postawicie mnie tu albo tam, przepiszecie mi to lub inne zajęcia! A kiedy się lękasz żebym ja się nie pomylił, kiedy, by mnie ochronić od tego niebezpieczeństwa, sam chcesz za mnie o wszystkiém sądzić, prawodawco zarozumiały, nie lękasz się pobłądzić sam, wyznaczając mi zawód życia, określając moje potrzeby, biorąc na się ich zaspokojenie! Grubo się pomyliłeś: śród niezmiernego

ogromu stworzenia, wziąłeś mnie za to czém nie jestem: wziąłeś mnie za bobra co buduje mieszkania, za konia do zaprzęgu. Abym nie upadł, poniżyłeś mnie; abym nie zbłądził, zrobiłeś mnie niewolnikiem; abym nie cierpiał, odebrałeś mi życie, bo odejmując mi zmienne koleje życia, odjąłeś mi treść życia.

Dawna społeczność, społeczność odwieczna, będąca dziełem samego przyrodzenia, inaczej się z człowiekiem obchodzi. Pracuj, mówi do niego, pracuj ile możesz, jak możesz, dobrze czy źle, z talentem czy bez talentu, według usposobienia zjakiemeś się urodził. Co zarobisz twoje będzie. Stary jesteś, pracuj jeszcze, bo co zarobisz będzie dla twoich dzieci. Społeczność, oprócz że mówi do człowieka: pracuj, pracuj bez ustanku, zostawia mu nadto wybór zatrudnienia. Człowiek tam słucha instynktu. Jeśli się omyli, musi zmienić powołanie lub obrać niższe. Ale doświadczając siebie, znajdzie nakoniec drogę swą, a znalazłszy przebędzie ją orlim lotem. Tu masz złego lekarza, który nie wiedząc o tém, jest wielkim architektem: prostuje swój błąd, i wystawia sławną kolumnadę Luwru, arcydzieło budownictwa. Tu znowu architekt mierzny dostrzega iż urodził się na żołnierza: wraca do prawdziwego powołania swego i wygrywa bitwę

pod Heliopolis. Tak każdy pracuje, pracuje gorliwie, swobodnie, wedle właściwej swęj skłonności. Ojciec z bogaciwszy się, z bogactwa dzieci i stawia je w społeczeństwie wyżej niż sam stał. Dzieci, pożyczając kapitały staraniem ojca utworzone, innym, potrzebującym pracować, ciągną ztąd dochód, tym dochodem opłacają najwykwintniejsze wyroby przemysłu, i wzniesieni przez pracę, z kolei wynagradzają pracę. Jeśli są godne ojca, utrzymują się na stopniu gdzie je umieścił: wyżej nawet się wznosząc; inaczej, spadają, znowu ubożają, i obaczysz je żebrzące u wrót pałacu gdzie młodość ich płynęła. Jako praca ojcowa w nich została wynagrodzona, tak ich próżniactwo odnosi karę w nich i w ich potomstwie. Wynika ztąd tysiące kontrastów moralnych, wynika ten szereg przypadłości które widzimy na scenie świata. Obaczysz spoczywającego na jedwabiu biednego robotnika urodzonego na słomie, obaczysz na słomie wielkiego pana urodzonego wśród jedwabiu i złota. Obaczysz człowieka, który prostym będąc sługą, pracował, służył w domu bogatego dziecka, teraz opiekuje się tē dzieckiem, niegdyś dumnym, dziś poniżonym, i znajdującym wsparcie u człowieka którym pogardzało. Obaczysz awanturника bez majątku, wracającego z Indyj z wielkimi skarbami, siejącego dobrodziejstwa wkoło siebie, a wkrótce potem obaczysz

spadkobierców jego, rozproszonych, niemających czēm opędzić pierwsze potrzeby życia. Podobnym zmianom ulegają nietylko majątki, ale i potęga; bo fortuna dziwaczna naigrawa się ze wszystkiego, ze skarbów jak z koron królewskich. Widzimy żołnierza, Jana Sforza, który zostaje księciem panującym Medyolanu: wnuki jego giną od trucizny; oficer artylleryi włada połową Europy, potem, przykuty na wyspie, kończy dni w niewoli, a członkowie jego rodziny, rozproszeni, niekiedy cierpią niedostatek; książęta, dziedzice długiego szeregu królów, wygnancy, nauczyciele szkółki, potem królowie, potem znowu wygnani, jedzą na obcej ziemi chleb ledwie wystarczający na zaspokojenie potrzeb. Widzimy te igraszki losu, widzimy tysiące cnót naprzemian z tysiącami wad; tu bogacz kamiennego serca, za to znowu tam bogacz z sercem zawierającym skarby dobroci, rozsiewający wkoło siebie dary fortuny: a tak, ten któremu się powiodło, wynagradzający niższość temu który zjednać powodzenia sobie nie umiał; wszędzie jedno drugiem się nagradza: tego zręczność i tamtego niezręczność, tego pilność, tamtego lenistwo, tego dobroć, tamtego nieszczęście, wszystko nawzajem utrzymuje się w równowadze, a w końcu zawsze zdolności ludzkie posuwają się do najwyższego stopnia rozwinięcia. Te przypadki, te ude-

rzające kontrasty, te zdolności ludzkie do takiego natężenia pobudzone, te występki i cnoty, to dobre i złe, to wszystko nie jest zwierzęce, to tylko człowiekowi właściwe.

ROZDZIAŁ V.

O KOMUNIZMIE W STOSUNKU DO RODZINY.

Że własność i rodzina są powiązane nierozłącznym węzłem, i że komunizm niszczy własność, niszczy rodzinę i zagładza najszlache-tniejsze uczucia duszy ludzkiej.

Kommunizm niszczy pracę, znosi wolną wolę, a jeżeli jest konsekwentny, powinien znieść rodzinę.

Człowiek, taki jak wyszedł z rąk przyrodzenia, nie zaś taki jakim go chcą mieć sofisci, potrzebuje mieć swoje pole, na swoim polu swoje mieszkanie, w swoim mieszkaniu swą rodzinę. Gdy z dziecinnych lat przejdzie do młodzieńczych, gdy osoba jego dojrzeje, zaślubia niewiastę swego wyboru, albo wybraną dlań przez rodziców. Przybywają mu dzieci. Pracuje dla niej i dla nich. Rad stroi tę swoje towarzyszkę, przedmiot miłości; dzieci które mu dała stara się dobrze wychować,

*Co Francuzi
na myśli*

do pewnej professyi usposobić, przygotować im bogaćstwa i zaszczyty bądź w zawołzie który sam przebiegł, bądź w jakim zawodzie wyższym. Kiedy dopiął tego celu, kiedy się zestarzał, kiedy życie już mu rozkoszy nie przedstawia, kiedy żar miłości ostygnie, kiedy powodzenia tego świata wydają mu się prózną marą, wtenczas nowém życiem odżyje w dzieciach. Dla siebie już nie ma upodobań, ale je ma dla nich. Szczęśliwy jest kiedy one kochają, kiedy im się powodzi. Młody i silny opiekował się ich piérwszemi laty, stary i niedołężny znajduje u nich opiekę w swoim wieku zgrzybiałym. Umiéra nakoniec, bywszy z kolei dzieckiem, młodzieńcem, człowiekiem dojrzałym, starcem, odebrawszy od synów te usługi jakie im wyświadczał, zawsze kochający, zawsze kochany, i istoty którym dał życie towarzyszą mu aż do podwojów śmierci. Pokolenia ludzkie tak następują jedne po drugich, trzymając się za ręce, od piérwszego człowieka którego Pismo zwie Adamem, aż do ostatnich jego potomków co zginą niewiadomo jaką śmiercią, pospolu z planetą która nas unosi przez obszary nieskończoności.

To jest, powiedzą, ideał rodziny. Ale jeżeli człowiek wybrał żonę pod wpływem chwilowego pociągu? Przestał ją kochać, ona go już nie kocha. Oszukiwał ją i ona go nareszcie oszukała. Społe-

czność małżeńska przemieniła się w niewolę niezdolną. Dzieci swoje zaniedbał, albo téż, ojciec najlepszy, tkliwe miał o nich staranie, a odpłaciły mu samą niewdzięcznością i opuszczeniem.

Znam te deklamacye, ale słabo ci rozumują co przypadkowe niedoskonałości jakiej rzeczy na jej potępienie całkowite używają. Niezadługo wytłumaczę te niedoskonałości. Wprzód dowiodę że ideał przezemnie skreślony zostaje prawdziwym, pośród wszystkich zmiennych kolei rodu ludzkiego.

U zwierząt, ojciec nigdy nie zna istot co od niego ród biorą. Matka, gdy je wykarmi, albo, w rodzajach niessących, gdy je nauczy żyć o własnej sile, opuszcza je, nie chce ich nawet widzieć, i odgania od siebie jako natrętne. Wychowanie zależało na doprowadzeniu ich do wieku kiedy zdolają wyżywić się i obronić. Trwa miesiąc, dwa miesiące, może rok u gatunków najdłużej żyjących. Dalszém ich przeznaczeniem, komunizm. Ojciec, matka, potomstwo, żyją, nie znając się, nie rozróżniając się, w mieszaninie rodu którą się natura ich nie brzydzi. Taką jest rodzina u zwierząt. Prawda, wolne są od trosków, nie znają obowiązku mieć staranie jedno o drugiem kiedy się kochać przestaną, nie znają cudzołóstwa, nie płaczą nad niewdzięcznością dziecka, nie ma u nich złego małżonka, złego ojca, złego syna. Czy takiego stanu nie-

winności, swobody, szczęścia, życzą rodzajowi ludzkiemu? Taka niewinność, swoboda, szczęście są bydlące. Gdy cel zbliżający ojca i matkę został dopięty, co dla ojca trwa chwilę, dla matki parę miesięcy, rozstają się, i rodzina się rozchwiewa. Trwała czas koniecznie potrzebny do wykształcenia rodzaju.

Ale człowiek kształci się całe życie. To stworzenie tak silne, przeznaczone żyć dłużej niż większa część innych zwierząt, przeznaczone aby kiedyś zostało Newtonem, Rasysem, Wolterem, Napoleonem, gdy go pierś matczyzna wykarmi, jeszcze chodzić nie umie; nie mieć o nim starania, a pies go wywróci, koń zdepcze; kiedy się nauczy jeść, chodzić, omijać niebezpieczeństwa, jeszcze niezdolne będzie żyć wśród społeczności gdzie wszystko kupować trzeba, gdzie nie znajdzie wyżywienia na ulicy, jak bydła znajdują trawę w polu. Ojciec i matka muszą dlań zarobić na życie. Dalej, jest istotą myślącą, trzeba rozwinać jego umysł, wykształcić, wznieść, postawić na stopniu odpowiednim zawodowi któremu się poświęci, odpowiednim narodowi, wiekowi. Idźmy wyżej: dajmy że to będzie syn jednej z owych wielkich rodzin co są zaszczytem kraju, syn Scypionów w Rzymie, Annibalów Barka w zazdrośnej Kartaginie; jeżeli kiedyś ma utrzymać chwałę swojego imienia, sławę

ojczyzny, trzeba w niego wpoić cnoty dziedziczne, dążności szlachetne jego rodu, a na to, całego życia przykładów zacnych i bohaterskich nie będzie zawiele. Jeżeli to syn Jana Barta, trzeba go postawić koło ojca, a jeśli w dniu bitwy okaże ślad bojaźni, przywiązać go do masztu okrętu którym dowodzi nieustraszony marynarz. Na dopięcie takiego celu czyliż rodzina może trwać zbyt długo?

Dla zwierzęcia, rodzina znaczy opiekę matki przez czas niedołęztwa fizycznego; dla człowieka, rodzina znaczy czującą pieczę ojca i matki nad jego duszą przez całe życie, znaczy nieprzerwany pociąg mądrych nauk, wielkich przykładów. Biada! że takie rzeczy powtarzać trzeba we Francyi, w rzeczywistej XIX-go wieku.

Rodzina u ludzi zapewne niezawsze i niewszędzie jest jednakowa, i, podobnie jak inne instytucje towarzyskie, nie staje na stopniu doskonałości od samego zawiązku społeczeństwa. W stanie koczownicstwa człowiek ma kilka żon, bo żyjąc swobodnie pod niebem, na rozległych błoniach pustyni, wśród obfitości, łatwo mu utrzymać siebie, i kilka żon, i wiele dzieci. Despota, nienauczony jeszcze szanować słabszą towarzyszkę, dogadza swoim chciom pojmując żon kilka, obowiązując je do wierności której sam nie zachowuje, ze wszystkich ma dzieci żyjące między sobą jak mogą, a jeżeli jedna

z tych żon weźmie górę nad innemi, wyżenie Agarę na puszcę aby tam z Izmaelem umarła z pragnienia. Nakoniec, jeżeli ten koczujący barbarzyńca kiedyś opanuje Konstantynopol, będzie miał nałożnie krocie, zamkniętych w haremie, a jego dzieci rozmaitego pochodzenia, krwawe między sobą toczyć będą boje.

W Rzymie nawet, w siedlisku uczuć wielkich i szlachetnych, ale zarazem szorstkich, dopóki chrystyanizm serce nie zmiękczył i nie wzniósł, węzeł małżeński daleko mniej był silny niż stał się następnie. Były stopnie małżeństwa: między nałożnicą a małżonką były stany pośrednie, dopuszczalne i uznane przez prawo. Rozwód wreszcie był łatwy. Rzymianka przechodziła często z domu do domu. Rodzinę stanowił głównie ojciec, daleko mniej matka. Szlachetna duma rodowa była zasadą, duszą rodziny, daleko więcej niż tkliwe przywiązanie. Ta duma zadziwiająca, tak daleko była posuniętą, że gdy Scypionowie mieli syna niegodnego ich domu, udali się do Pawła Emiliusza z prośbą aby im ustąpił jedno ze swoich dzieci; dali je wychować Polibiuszowi, a tém dzieckiem był Scipio Aemilianus. Wielkość Rzymu ugruntowana na wielkości rodzin, panowała światu. Ale często brakowało matki, tkliwe uczucia były obecne

Rzymianom. Matka Grachów, to wyjątek, i stwierdza raczej niż osłabia tę prawdę.

Chrystyanizm, który tyle dobra wyświadczył społeczności ludzkiej, czyniąc człowieka wstrzemięźliwym, zniewalając go tłumić namiętności, szanować kobietę słabszą i niewolnika, chrystyanizm ustanowił rodzinę taką, jaką dziś mamy. Dla jednego ojca, jedna matka, jeden ród dzieci. To jest forma doskonała tej świętej instytucji. Zapewne, mężczyzna, kobieta, ulegając płochęj pęgnie, mogą niekiedy wykroczyć przeciw wstrzemięźliwości. Rzadko zdarzy się aby jednaką miłością kochali się od lat młodych do sędziwych, ale z czasem przywiązanie małżeńskie bierze miejsce miłości. Istota, co przez całe życie podzielała twe losy, co z tobą dzieli wszystkie koleje powodzenia, nigdy ci nie może być obojętna; a jeżeli ciągle mieszkanie pod jednym dachem daje niekiedy powód do zająć i niesnasków, jednakże osamotnienie jakiegoś dusza twa dozna w chwili gdy taka istota będzie ci wydarta, dowodzi jak wielkie miejsce zajmowała w twym sercu. A zresztą, czyliż nie zostają dzieci, dla których familia była ustanowiona? Małżonek, żona, których wzajemne uczucia zostały nadwężone, schodzą się znowu, porozumiewają, gdy idzie o te istoty najdroższe, jedyny cel życia kiedy życie zostało bez celu. Cierpią w nich, cierpią srodze, ale cier-

pią jeszcze więcej kiedy ich nie mają. I któż chciałby z duszy ludzkiej wygładzić uczucie macierzyńskie, tak gorzkie i tak słodkie, tak miłe i tak straszne razem, które, to czuwa nad młodą dziewczcą, chroni jej wstydu, prowadzi ją aż do ołtarza, kocha ją gdy zostanie matką, kocha dzieci jej tyle co ją samą; albo też idzie w ślad za młodzieńcem w burzliwym jego zawodzie, i wypiełgnowawszy pierwsze jego łafę, towarzyszy mu ze drżeniem gdy wchodzi w życie społeczne, boleje nad jego niepowodzeniem, unosi się radością gdy mu się powodzi? Zdarzy się że matka czuła dozwoli synowi obrać zawód wojskowy. Drży gdy się dowie że bitwa bliska, że on w bitwie będzie: co za radość jeśli został bez rany, jeśli zaszczytną o nim usłyszy wzmiankę! O! bez wątpienia dusza się w niej rozdziera gdy zabitego jej odniosą, choćby spoczywającego na sztandarach nieprzyjaciół; rozpaczć będzie, umrzeć zechce, może umrze! Wyznaję, bydlę nawet najlepsze, pies którego kochasz, podobnych cierpień nie dozna. Chciałżebyś zostać bydlęciem, wyrzec się duszy, przestać być istotą wolną, myślącą, czującą rozkosze i cierpienia, cierpienia głębokie! A więc wydrzyj sobie duszę, padnij na czworaki, z rąk swoich zrób nogi, zniż do ziemi czoło przeznaczone patrzeć w niebiosa, *erectos ad sidera tollere vultus*, i zostań bydlęciem abyś nie cierpiał.

Dzieci sprawują przykrości, obowiązki stanu małżeńskiego są uciążliwe, jak granice sąsiedniego pola przykre są temu, kto chciałby na niem zrywać owoce. Skoro tak, wyznaję, nie konsekwentniejszego jak znieść granice rodziny, podobnie jak granice pola sąsiedniego. Nie będzie inakszć posiadłości ziemskiej, innć strzechy, innć żony, innych dzieci, tylko wspólne. Będiesz kochać, pielęgnować to wszystko zarówno, ogółem, i wiele trudności tym sposobem się usunie. Mężczyzna połączy się na chwilę z kobietą co mu się spodoba, zostanie z nią dłużej, krócej, a potem, gdy chć zaspokoi albo upodobanie przeminie, odejdzie, zostawując jej przykrości cięższe, o których ulżeniu społeczność pomyśli. Czasem zajdzie do dzieciarni spólnej, odwiedzi wszystkie dzieci wszystkich ojców i wszystkich matek, pilnie bacząc aby żadnego nie poznał, by nie zgrzeszyć i nie kochać jednego jakiego dziecka w szczególności, a za rozkosz rodzicielską mieć będzie widok, gdy wszystkie te dzieci bawić się będą pod skrzydłem społeczności.

Wiem że wielu przeciwników własności powstanie na ten obraz, powiedzą że taka mieszanina ich oburza. Mogą mieć upodobania lepsze, ale logika ich jeszcze mniej warta.

Trzeba, powiedziałem, żeby człowiek miał wszystko własne: pole swoje, na polu swoim

mieszkanie swoje, w mieszkaniu żonę i dzieci swoje; albo nie swojego, ani pola, ani mieszkania, ani żony, ani dzieci; bo w systemacie pośrednim, prócz fałszywej zasady, przeciwnej naturze, zachodzi niekonsekwencya, dla samego systematu najniebezpieczniejsza, najokrutniejsza dla indywiduów. Postaraj się, jeśli możesz, wyrwać człowieka sobie samemu, zabić ten pociąg jego serca co go wiedzie do przywłaszczania sobie wszystkiego czego dotknie, rzeczy materyalnych zarówno jak moralnych, nazwyczaj go aby się rozlewał w nieskończoność, pracował dla trzydziestu sześciu milionów spółobywateli, kochał ośmnaście milionów kobiet, miłował pięć albo sześć milionów dzieci, nazwyczaj go do tak nieograniczonego wylania uczuć; lecz jeżeli mu dozwolisz w czémkolwiek folgować skłonności która go nieustannie pobudza aby wszystko odnosił do siebie, natychmiast skłonność ta stanie się silniejsza, nieprzeparta. Zostaw mu tylko żonę i dzieci, a wnet zechce im dać majątek całego zgromadzenia do którego należy. Szaleni! czyliżście nie pojęli, że Bóg, rozdawszy stworzeniom swoim świat, to jest przestrzeń i czas; rozdawszy między nich dziedzinę nieskończoności; ponieważ stworzył istoty osobne, niemające dla siebie ani całego czasu, ani całej przestrzeni; ponieważ stworzył ziemię, księżyc, słońce, a w niezmiernych obszarach nieba

tysiące innych słońc, ziem, księżyców, którym wszystkim udzielił część czasu i część przestrzeni, bo się zaczynają i kończą; ponieważ na tych wielkich tworach martwych, lubo siłą ruchu ożywionych umieścił inne istoty, podobnież różnego rodzaju, niektóre czujące, myślące, jak zwierzęta, a pomiędzy zwierzętami człowieka; że zatem zasada stworzenia wymaga: aby te istoty, oddzielone jedne od drugich, miały każda swą część przestrzeni i czasu; że jak globy niebieskie na których twory te żyją mają część przestrzeni powszechną, tak one znowu mieć muszą część tych globów, zwierzę musi mieć swą norę, człowiek swoje mieszkanie; i że człowiek, istota moralna, zdolnością kochania obdarzona, nie ogarnia miłością całości, ogółu, który dla niego za wielki, ale część, którą zasięgnąć może: najprzód ojca, matkę, żonę, dzieci, to jest rodzinę, potem swój kraj, po kraju może jaką część większą jeszcze rodzaju ludzkiego, do którego należy, na przykład wyznawców téjże samej wiary, chrześcian wszystkich. Nie czujecież, że idąc dalej, stawiacie się w przeciwieństwie z rozumem, bo stawiacie się w przeciwieństwie z naturą rzeczy. Czy nie słyszycie szyderców, którzy naśmiewając się z takiej miłości nieograniczonej, mówią, iż kochać rodzaj ludzki, znaczy nie kochać nikogo? Odpowiecie może, że wasz systemat jest systematem

miłości powszechniej, gdy stary systemat społeczny jest systematem egoizmu. Nie jest systematem egoizmu, podobnie jak ciężenie nie jest egoizmem planetarnym. Każda istota ma sobie zakreślone koło po którym się obraca, a w tém kole promień w którego kierunku jest przyciągana. Człowiek jest istotą ograniczoną; uczucia jego są ograniczone, jak ciało. Trzeba go wznieść stopniowo od niego samego do rodziny, od rodziny do kraju, od kraju do ludzkości. Po tych szczeblach może wznieść się i wznosi do uczuć najszczytniejszych. Najprzód kocha siebie, potem, doskonaląc się, kocha żonę i dzieci więcej niż siebie. Doskonaląc się jeszcze, pojmując, że pomyślność kraju wiąże się z pomyślnością jego rodziny i kocha kraj tyleż co swą rodzinę. Możesz nakoniec doprowadzić go do kochania całej ludzkości, ale nieinaczéj jak po szczeblach wiodących go stopniowo od niego samego do rodziny, ojczyzny, ludzkości, Boga. Wymagać aby kochał całość wprzód niżli część, ludzkość wprzód niż swój kraj, kraj wprzód niż rodzinę, znaczy grubo mylić się względem natury człowieka, względem promienia sił fizycznych i moralnych które go w ruch wprowadzają. Każ Francuzowi aby kochał Europę wprzód niż Francją, Francją wprzód niż rodzinę, aby pracował dla istot najdalszych od jego serca zamiast pracować dla istot sercu naj-

bliższych, a zobaczysz, nauczycielu śmiechu godny, czy cię usłucha. Byłoby to tak samo, jakbyś kazał księżycowi bezpośrednio obracać się koło słońca, zamiast że obraca się najprzód naokoło ziemi, a z nią razem okolo słońca, które jest środkiem spólnym, ale pośrednim, jego bytu planetarnego. Słowem, człowiek, istota ograniczona, powinien wznosić się stopniami do tego ogółu w którym chcecie go utopić. Tak postępując wznosi się, kiedy idąc drogą przeciwną, zniża się od ogółu do swęj jednostki. Słupy poprawiaczu rzeczy ludzkich! należało człowieka wywyższyć, a ty przeciwnie go ponizasz!

ROZDZIAŁ VI.

O KLASZTORZE CZYLI O ŻYCIU ZAKONNÉM U CHRZEŚCIAN.

Że komunizm jest nieskładnem naśladowaniem życia klasztornego, zamykajacem w sobie sprzeczności które życie takie czynią niepodobnem.

Świat jednak widział jedyny przykład życia spólnego, mianowicie życie zakonne w klasztorach u chrześcian, o którym nie mogę nie powiedzieć słów kilka, aby tém wyraźniej okazać jak grubo błędzą nędzni naśladowcy tego wyłącznego przykładu.

Z pomiędzy istot żyjących sam tylko człowiek życie sobie odbiera, on jeden popełnia samobójstwo będące ostatnim wyrazem wolnej woli jaką Bóg człowiekowi dał, obdarzając go władzą myśli. Są bowiem momenta, gdzie ta myśl, wyteżona cierpieniem, fałszywie świat sobie malując, widzi w nim samą tylko boleść, kiedy Bóg umieścił

w nim i rozkosze, poczynuje jaką przemijającą ostateczność za niezmienną, gdy na scenie ruchomej świata wszystko mija, radość i smutek; — myśl wtedy oburza się, wychodzi z karbów, i przemagając potężny instynkt wiodący istoty wszystkie do zachowania bytu, doprowadza człowieka do tego, iż życie sobie odbiera. Kato, poczynując Cezara potęgę ugruntowaną nazawsze, przeszywa się żelazem, i nie umie zachować siebie na ten dzień, kiedy Brutus i Kassysz zmieniają postać rzeczy rzymskich. Smutne złudzenie jednej chwili! Dlatego też we dwa tysiące lat później, inny Cezar, którego wielkość także nie była wieczną, zawstydzony, iż chwilę mógł pomyśleć o samobójstwie, wyrzekł ze szczytu skał Świętej Heleny te słowa pamiętne: „Gdybyś był mógł, Katonie, czytać w księdze przeznaczeń, gdybyś w niej mógł być widzieć Cezara przeszytego dwudziestą trzema ranami, upadającego u stóp posagu Pompejusza, Cyncerona zajmującego mównicę i piorunującego z niej filippiki przeciw Antoniuszowi, czy jeszcze przebiłbyś pierś swą żelazem?”

Lecz ni przykłady, ni nauki nie zapobiegają temu, iż znowu bądź dumny wojownik zwyciężony, bądź pospolity gracz śmierć sobie zadadzą. Chryścjanizin, głęboko znający naturę ludzką, na miejsce takiego samobójstwa zbrodniczego, podstawili samobójstwo niewinne, które nie zabija istoty, ale ją

odrywa od społeczności i poświęca dobrem uczynkom i modlitwie: tém samobójstwem jest klasztor.

Życie bowiem zakonne nie co innego jest, tylko samobójstwo chrześcijańskie, zastępujące samobójstwo pogańskie Katona, Brutusa i Kassjusza.

Chryścjanizm chwytła straceńca który miał posięgnąć na własne życie, zatrzymuje, prowadzi na samotność, wydiera burzliwemu życiu towarzyskiemu, niezliczonym wzruszeniom, to słodkim, to rozdzierającym, które go w bezustannym trzymały wirze, zamyka go w klasztorze milczącym i smutnym, gdzie w ciasnym obrębie, między czterema ścianami, każe mu wstawać, modlić się, pracować, pokarmy spożywać, iść na spoczynek, codzień o jedynychże godzinach, gdzie nie nie słyszy jak dzwon klasztorny, gdzie innych nie zna wypadków jak wschód i zachód słońca, gdzie gorączkowe zapalenia gasną w szczytniej i słodkiej jednostajności modlitwy, lekarstwie potężnym i jedynym na burze moralne, lekarstwie zdolnym ukoić nawet duszę tkliwą i namiętą Heloizy i panny Lavallière. W klasztorze namiętności fizyczne przytępią się postami i ostrym życiem, namiętności moralne, oderwaniem od świata. A ponieważ w sercu najbardziej spustoszonem pozostaje zawsze jakaś nieczem niezatarta cząstka skłonności ludzkich, towarzyskość, ponieważ nadaremnie chcielibyśmy ją z serca wy-

rugować, chrystyanizm, zawsze głęboki w swoich widokach, pozwala mężczyźnie mieć towarzystwo z mężczyzn, kobiécie mieć towarzystwo z kobiet, pilnie strzeże aby się nie spotykały te dwie płci tak skore do kochania się znowu nawzajem, rozdziela je starannie, i podobnie jak ciałom zostawił tylko pokarm biedny, ledwie do utrzymania sił dostateczny, tak duszy zostawia tylko przyjaźń zimną i spokojną, niezdolną uczucia podniecić i wzburzyć. Tak ich prowadzi przez życie, aż do ostatniej godziny, między modlitwą, rozpamiętywaniem, dobrymi uczynkami, zamieniając śmierć nagłą, gwałtowną, zbrodniczą, na śmierć powolną, spokojną i niewinną, przeplataną czynami użytecznymi ludzkości. Ale chrystyanizm nie odstąpił od przyjętej zasady. Chciał jedną śmierć zastąpić inną śmiercią, wybudował więc grób, kazał doń zstąpić człowiekowi co pragnął pozbyć się życia, i pomaga mu dni ostatku spokojnie tam przepędzić. Dla zakonników, dla zakonnic, oderwanych od świata, co znaczą majątek i rodzina? Nie powinni więcéj o nich myśleć, jeżeli postanowienie co ich zaprowadziło do klasztoru mocno tkwi w ich sercu; a jeżeli postanowienie to wstrząśnioném zostało, winni wyjść, natychmiast wyjść z grobu w którym zamknęli się za życia, inaczej wynikną ztąd cierpienia naj-

okropniejsze, zgorzenia najbardziej pożalowania godne.

Wielkie społeczeństwo ludzkie potrzebuje pracować nieustannie, aby się utrzymać, aby się obronić nędzy co mu natychmiast grozi skoro tylko praca nastaje: bo podczas gdy słońce, albo deszcz, albo chłód przechodzą po ziemi, gdyby społeczeństwo nie było gotowe rzucić w nią nasienia w chwili przyzwolonej, umarłoby w roku następnym z głodu. Ale drobne społeczności wyjątkowe, które chrystyanizm gdzieś tam w stronach samotnych umieścił, nie potrzebują tak ściśle pilnować pracy. Mają mało mieć, aby mało żyć. Prócz tego, wielkie społeczeństwo, zezwalające na te wyjątki bo nie są liczne, opiekujące się wreszcie chorobami duszy jak chorobami ciała, nadaje im niejakię dobrą, czasem nawet bogate dochody; w takim razie cóż znaczy że tam praca nie znajduje dostatecznego bodźca, kiedy wielka społeczność, swoją gorliwością w pracy, zastępuje ich opieszalność? Rodzina podobnie nie stanowi w tych małych społeczeństwach żadnej trudności, bo one są śmiercią nie zaś życiem, nie są przeznaczone na wydanie potomstwa, na kochanie, ale są miejscem chwilowego spoczynku postawionem u progu wieczności, gdzie nawet jeżeli chcemy zapobiedz wybuchowi namiętności, gwałtownemu ich ocknieniu, przepisy niezbędne potrzebne każą

je stłumić wszystkie, koniecznie, zupełnie, nieodwołalnie. Przy wstąpieniu, ucinają kobiecie piękne włosy, każą mężczyźnie zapuszczać brodę; nadobne ciało niewiasty, silną męczyzny budowę okrywają suknią ciężką, niekształtną, bezbarwną, która chowa, zaciera wdzięki, jakimi Bóg obdarzył te istoty, stworzone aby się wzajemnie sobie podobały, aby się wzajemnie nęciły. Chrystyanizm nie zbacza z drogi wiodącej do zamierzonego celu! Mało pracy, mało pokarmu, żadnej rodziny w tej śmierci chrześcijańskiej zastępującej pogańską. Wszystko w tem jest zgodne, spójne, łączne. A jednak, pomimo takich ostrożności, to serce zrozpaczone któremu się zdawało że boleść na świecie trwa wiecznie, które chciało przebić się żelazem lub zamknąć w klasztorze, serce to mylnie sądzące o trwaniu uczuć ludzkich, niekiedy nagle się zbudzi, zbudzi pełne życia, i dlatego nieraz widziano dawniej domy klasztorne, lubo najsurowszym regulom poddane, wyłamujące się nieustannie z tych reguł. Chcieli im wzbronić namiętności posiadania, a przywłaszczały sobie ogromne dobra. Chcieli im wzbronić słodyczy rodzinnego pożycia, a puszczały się na oplakane błędy. Bo chwilowe pragnienie wyłamania się z pod praw natury, to pragnienie znikало razem z rozpaczą, albo z przemijającym zniechęceniem co mu dało początek. Jeżeli nawet

zakonnicy, zakonnice, dotrzymywali po części ślubu swoje, nie byli jednak wolni od ambicji, namiętności serc które innych już namiętności nie znają. Klasztory były siedliskiem wiecznych zatargów między ludźmi chcącymi przewodzić w małym i monotonnym swoim państwie. Spory między mnichami a opatem, między mniszkami a przełożoną, napełniały serca z których udało się wyrugować wszystkie namiętności inne. Dlatego i sam chrystyanizm, przez głos kapłanów łączących wiarę ze znajomością serca ludzkiego, uznał, że dopuszczone byćby powinny tylko klasztory w których sposób życia twardy niszczy namiętności ludzkie, albo też zgromadzenia poświęcone miłosierdyni uczynkom, gdzie istotom wykluczonym ze społeczności otwiera się zawód tak dalece zaprzątniony usługą przy łóżach boleści, albo modlitwą u stóp ołtarzy, iż ponęty świata nie są dla nich niebezpieczne. A jednak i tu jeszcze zdarzają się wyjątki!

Życie wspólne, niewola klasztorna, dla ludzi co się odrzekli świata, dla których mniejszej są wagi praca, czynność, rozkosze serca, uczucia rodzinne, dla których wszystko to nawet exystować nie powinno, były kiedyś, i są jeszcze, ale tylko wyjątkowo, sposobem życia dopuszczalnym, narażonym wszakże na straszliwe zawody. Tam oziębłość do

pracy zgadza się ze ślubem ubóstwa, niewola reguły z potrzebą jednostajności, brak rodziny z umartwieniem i zniweczeniem wszelkich przywiązań ziemskich. Ale w bezczynności i niewoli klasztoru zamknąć istoty namiętne, pełne żądzy używania, pragnące kochać, przeżyć siebie w dzieciach, jestto błąd przeciwny rozumowi, śmiechu godny, i chrystyanizm w wysokiej mądrości swojej popełnić go nie mógł. Znaczyłoby to, zamiast, jak chrystyanizm uczynił, w grobie dać mieszkanie śmierci, chcieć aby w grobie mieszkalo życie.